



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGA WĘDKA.

— Za dużo słońca!...— woła ziemia, spieczonym na węgiel językiem i jak biblijna Hagar jęczy choćby o kropelkę dżdżu, a tu niebo tylko łyska, czasem zagrzebi nawet, ale deszczu nie zseła, choć o niego modlą się ludzie, zwierzęta i rośliny.

Przyszła raz burza po kilku miesiącach wyczekiwania i pokropiła bruki warszawskie, jakby stróżom kamienicznym chciała dać lekcyą polewania ulic, jednak co to znaczy w obec skutków tej spóźnionej kanikuly, której psy zrozumieć nie mogą a człowiekowi wszystko jedno, jak mu to wytłumaczy meteorologia; on czuje tylko, że zamiast głowy ma na karku jakiś kokil z mózgu, zamiast języka podeszew i że się zamienia cały w jeden duży skwarek przy 36° Celsjusza w atmosferze.

Mniejsza o poty, mniejsza o dolegliwości takich upałów wśród murów miejskich, ale co się dzieje tam na łonie natury, co się dzieje w polu, w ogrodach, w sadach!... ziemia stwardniała, jak opoka, której najostrejszy pług rozkruszyć nie może. Łąki powypalane, jak stepy po pożarze, potraw przepadł, paszy dla inwentarza brak; stawy, rzeczki, studnie powysychały, niema wody do picia i pojenia bydła; kartofle upiekły się w gruncie, buraki powiędły, owoce na drzewach w suszone zmieniły się konserwy,—słowem: susza tegoroczna i niepamiętne gorąca wyplątały rolnikom i gospodarzom taką psotę, jakby chciały się zemścić za urodzaje, które jakoś odżywiły ziemian naszych lepszą otuchą.

Przysłowie powiada: „niema złego, coby na dobre nie wyszło,“ ale mi się zdaje, że prawdziwszem byłoby inne: „nie ma dobrego, po którymby złe nie szło.“

Cieszyliśmy się ze znakomych plonów tegorocznych i z rezultatów żniw a nie przewidywali, że to samo słońko, które się wydawało pocziwym dobrodziejem dla gospodarzy, stanie się bezpośrednio ich krzywdzicielem.

Z rozmaitych stron nadechodzą wieści, że kanikula narobiła dużo złego na ten rok i na przyszły, bo w robotach około roli przeszkodziła, i na zagłodzenie inwentarza skazała podczas przyszłej zimy, i ludziom odjęła spodziewanych zysków z warzywa i owoców, i plantatorów przy cukrowniach i gorzelniach naraziła na straty,

Nie długo trwała uciecha ze zbiorów tegorocznych...

A do tego ciągle miła ewentualność rozszerzenia się epidemii zatruwa nam wszystkim humor; obawa przed cholera nie ustępuje, chociaż się zmniejsza.

Odkąd mikroby jej przeskoczyły jednym susem z północy na zachód i pastwić się zaczęły nad Hamburgiem, zwróciliśmy całą uwagę na hekatombę, które sobie codziennie zaraza wyprawia w słynnym mieście bankierów i kupców nad Elbą; wobec klęski cholerycznej na krańcach Niemiec zapomnieliśmy na chwilę, że epidemia teraz wzięła nas we dwa ognie i że tak dobrze może do nas zjechać przez Mławę lub Alexandrowo, jak przez Lublin, gdzie tymczasowo urządziła sobie etap, na którym może ją komisyja sanitarna zatłumi, a może pomimo wszelkich najgorliwszych starań i czujności nie będzie mogła dopilnować, aby się jednak nie wymknęła na dalszą pohulanę.

Robi się wszystko, co można dla bezpieczeństwa; nie szczędzi trudów, starań, kosztów, organizuje służbę ratunkową, stawia choleryczne baraki, gromadzi środki dezynfekcyjne, wydaje rozporządzenia i przepisy, przygotowuje do walki energicznie na wszystkich punktach, aby sobie nie mieć nic do wyrzucenia, ale mimo to pewności mieć nie można, że ten wróg zdradliwy gdzieś, kędyś chyłkiem nie wciśnie się i broić nie zacznie.

Dlatego należy mieć się na baczności, nie spuszczać się na to nasze tradycyjne: „e! jakoś to będzie,“ tylko czuwać dalej ze zdwojoną energią, aż do zupełnego wygaśnięcia zarazy w Europie.

Zadanie to nie bardzo miłe i nie bardzo łatwe, zwłaszcza dla nas, którzy wytrwałości i systematyczności nigdy nie zaliczaliśmy do naszych pięknych przymiotów.

Tak przez tydzień, przez dwa tygodnie gotowiliśmy trzymać się doskonale, pilnować czystości, przestrzegać porządków, zachowywać przepisy higieny i dyetetyki, ale po tym czasie zaczyna się nam przykrzeć, zaczynają nam ciążyć obowiązki, zwłaszcza gdyśmy się do niebezpieczeństwa trochę przyzwyczaili.

I wtedy zaczynamy się opuszczać, brawurować, podrażniać:

— Et, poradzimy sobie—przesad!... co tam taka cholera!... strachy na lachy. Jeśliby miała przyjść, tobyśmy już tu byli mieli ją od dawna.

W takiej chwili właśnie najłatwiej narazić siebie i drugich.

Mówię o tem, bo już zaczęły się objawiać ślady takiej lekkomyślności, nie u nas w Warszawie jeszcze, ale na prowincyi, gdzie zacofanie i ciemnota stanowią w swoim rodzaju zlokalizowaną epidemię, na którą dotąd dość energicznych środków nie posiadamy.

„Słowo“ i „Kurier Codzienny“ podały w osobnych artykułach kilka bardzo charakterystycznych faktów, w jaki sposób traktuje się na prowincyi sprawy zalecanych środków ostrożności i przepisów sanitarnych.

W pewnem mieście nakazano rynsztoki posypywać wapnem dla dezynfekcyi; posypywano je czemś białem, tylko że to białe, nie było wapnem, lecz mąką strzępywaną z worków po drodze, bo wapno trzeba było kupić, a mąkę można było mieć darmo.

Korrespondent „Kur. Codz.“ z Mławy pisze:

„Porządki, jakie dla uchronienia się od epide-

mii przedsięwziął magistrat, solą w oku, dla mieszkańców naszego miasteczka, wolą płacić kary, niż ustąpić cokolwiek ze swoich zastarzanych nałogów, które nie a nie z czystością nie mają wspólnego. Z kar tych w krótkim czasie kassa magistratu zebrała przeszło rs. 2.000. Dobrze, żeby ich użyto na wykopanie kilku studni, gdyż brak wody w miasteczku, zwłaszcza w ubocznych dzielnicach dotkliwie czuć się daje i nie może wpłynąć na zdrowotność mieszkańców. Źródło z doskonałą wodą jest dosyć, trzeba je tylko umiejętnie przenieść i rozprowadzić.

I to się właśnie dzieć musi w Mławie, przez którą bardzo łatwo przedostać się może zaraza zawleczona przez podróżnych z Niemiec przybywających.

Możnaby dalej związać ten wianuszek z prowincjonalnych nowin w podobnym rodzaju, tylko że przeczność nie każe psuć sobie humoru i nie irtować się przedewszystkiem, gdyż równowaga umysłu i nerwów jest jednym z pierwszych warunków prezerwatywnych przed cholera.

Jeżeli chodzi o powód do śmiechu, radzę wam czytywać telegramy i korespondencje z Wiednia o kłopotach komitetu zarządzającego na tamtejszej wystawie muzyczno-teatralnej widowiska operowe i koncerta z udziałem naszych artystów i kompozytorów.

W ostatniej pogawędce wspominałem już o tem, że udział polskiego teatru i muzyki robi prawdopodobnie fiasco wobec złej i wadliwej organizacji a jeszcze bardziej z powodu kapryśnego usposobienia naszych gniazd, naszych chwał, naszych znakomitości.

Koncertów zamierzonych wcale już nie będzie, bo niema komu wystąpić na estradzie.

Paderewski jest „*toujours malade*,” zrobił zawód i nie przyjedzie do Wiednia.

Reszkom przeskadza jakieś lichy śpiewak przed 20-ym b. m. i przed wyjazdem do Ameryki; nie przyjadą do Wiednia, jakkolwiek wysegi w Pławie się skończyły i nie ich więcej w Borowni, gdzie bawią na wakacjach, nie powstrzymuje.

Mierzwiński się gniewa na komitet, że go za późno zaprosił i siedzi w Karlsbadzie.

Kochańska solfeggia w Beerehtesgaden i boi się dezynfekcji na granicy austriackiej, aby jej głosu nie zepsuła; przeprosiła tedy komitet, że wobec cholery nie myśli się narażać.

Michałowski pojechał wypoczywać na łonie rodziny a Barcewicz ujął już pierwsze skrzypce i zasiadł na swoim obowiązkowym stołku w orkiestrze Teatru Wielkiego, który otworzył w niedzielę swe podwoje dla miłośników opery.

Orkiestra wystawowa, przeciążona pracą, nie ma czasu uczyć się nowych utworów Żeleńskiego, Zarzyckiego, Noskowskiego i innych, — odpada tedy symfoniczna część programu.

Sytuacją ratuje „Halka,” wyjątki ze „Straszno-go dworu,” „ekstrakt „Krakowiaków i górali” i podobno scena z opery Adama Münchheimera: „Mazepa.”

Operetkowy personel teatru lwowskiego pod batutą swego dyrektora, zdolnego muzyka i kompozytora p. Jareckiego, pod reżyserią komika p. Skalskiego, wyjechał w pełnym komplecie do Wiednia.

W sobotę tedy mają się rozpocząć owe popisy na międzynarodowej wystawie sztuki scenicznej, owe przedstawienia przygotowywane od Nowego Roku, układane z takim mozolem przez przeróżne komitety z udziałem przeróżnych delegatów, zakrojone na wielką skalę europejską a zredukowane do minimum tego, z czem wolno na takiej arenie pod względem artystycznym wystąpić.

Czyja w tem wszystkim wina?... zapewne, że komitetu, który nie umiał się od początku wziąć należycie do rzeczy, ale i owych gwiazd naszych, które swoje ambicje osobiste, swoje kaprysy, nawet grymasy i widzimisię stawili wyżej ponad obowiązki względem rodzimej sztuki, powołanej do popisu na międzynarodowej wystawie wiedeńskiej.

Oni to winni przyjąć większą część odpowiedzialności za fiasco na tym europejskim konkursie; a można było wystąpić z godnością, nawet bardzo pokornie i nie obawiać się współzawodnictwa z nikim,

mając tyle świetnych talentów, z których każdy pojedynczo imponuje dziś zagranicą.

Musiło wszelako stać się według naszej starej tradycji, musieliśmy pokpić sprawę przez brak solidarności, rozgarnienia i przewagę prywaty nad interesem ogółu.

Nie przeczę, że w sobotę Moniuszko uratuje honor muzyki naszej, że nawet pochlebne recenzje wiedeńskich dzienników mogą pogłaskać naszą miłość własną, ale my, którzy wiemy, co mogło być a co było na tych popisach, nie będziemy wbiłali się zbyt w dumę i nie będziemy przecież uważali tych latanych przedstawień za pełny wyraz naszej sztuki dramatycznej, naszych talentów, naszego wirtuoztwa i naszej twórczości.

Mówmy lepiej o czem innym.

Za jaki tydzień skończy się tegoroczny sezon ogródkowy w Warszawie, teatrzyki zwiną swe dekoracje, spakują kostiumy, wsadzą do wagonów swoje siły i środki i wyjadą znów na prowincję. W Belle-Vue uciehnę operetka łódzka pod dyrekcją p. Janowskiego, w Wodewilu lubelskie towarzystwo p. Czysztogórskiego przestanie eksperymentować na operach w dużym stylu, które miały ratować niepowodzenia rozlicznych fars obcych i swojskich, z jakich tegoroczny sztukowano tam repertuar.

Brak odpowiedniego repertuaru, to jedna z fatalności dzisiejszych teatrzyków ogródkowych, która się mści za niezaradność kierowników na ich kieszeni a na żołądkach artystów.

Kiedy się tym panom daje dobre rady i upomina, aby nie przyjeżdżali do Warszawy na letni sezon nieprzygotowani, aby przez zimę już myśleli o tem, co grać będą i zbierali materiał, to najczelniejsze uwagi wchodzą im do głowy jednym uchem a wyłażą drugim.

I dzieje się tak co roku, iż ta lub owa truppa rozbija swoje namioty w tym lub owym ogródku, kompletuje na gwałt swój personel, chwytta pierwsze lepsze sztuki i rozpoczyna kampanję.

Publiczność, ta najcierpliwsza, najłatwowierniejsza i najpoczeiwsza publiczność warszawska, tyle razy zrażona i zniewiedzona, gotowa jest zapomnieć doznane zawody i podążyć do ogródka od dawna zdyskredytowanego w opinii, jeżeli zabłyśnie w nim choć promyk nadziei, że spędzić można tam wieczór przyjemnie na dobrej zabawie; ale niestety, trzeba tę publiczność czemś przyciągnąć, czemś ująć, zainteresować, coś jej dać za jej pieniądze, aby nie musiała żałować swego wydatku.

Tymczasem dzieje się wręcz przeciwnie; najczęściej wraca ona z niesmakiem, znudzona, zawiedziona, niezadowolona ze straconego wieczoru; pokazano jej głupią farsę, albo jakąś niezdarną klejonkę „oryginalną,” albo znowu rzecz dobrą, ale fatalnie graną i nędznie wystawioną, — jakżeż się dziwić, że ta publiczność biedna sarka potem i wymyśla!

Operetka nieważ zawsze więcej powodzenia, nie tylko ze względu na istotę swego rodzaju, bardziej popularną u tłumu, ale i ze względów zewnętrznych efektu, wystawy, kostiumów; nie można jej już zbyć lada czem na scenie, jak komedya, melodramat lub farsę, — trzeba trochę więcej staranności i nakładu.

Operetka też więcej opłaca się panom dyrektorom, nie dlatego tylko, że jest operetką, ale że tej publiczności daje pewną sumę wrażeń dobrze przygotowanych z pewnym nakładem materialnym i artystycznym.

Wodewil, który świecił pustkami niemal przez całe lato, zapomniał się na „Halee” i „Rycerskości wieśniaczej,” chociaż obie te opery śpiewane były tylko przez siły operetkowe, ale śpiewane i wystawione wcale znośnie; — co najważniejsza wszelako, wystawały po nad zwykły, płaski poziom repertoaru ogródkowego.

Mogłoby to być praktyczną wskazówką dla dyrekcji na rok przyszły, jakby należało traktować repertuar i wytworzyć sobie odrębny charakter.

Kilka zdolności początkujących zwróciło w tym sezonie uwagę krytyki na deskach ogródkowych; gdybym był mecenasem sztuki i rozporządzał większymi środkami, byłbym chętnie na wykształcenie wokalne takiego barytonu, jak p. Marecki, lub tenora, jak p. Feliksiewicz.

Byłaby z nich pociecha dla opery.

Do operetki i wodewilu poleciłbym p. Boguckiego młodego aktora, w którym niezaprzeczenie jest dobry materiał i nerw sceniczny.

Szkoda, żeby się to zmianowało i zmarnowało na prowincjonalnej włóczędze.

W personelu żeńskim mniej zaznaczyło się wybitniejszych zdolności, oprócz jednej p. Szymborskiej, córki dobrego komika i rutynowego artysty; z tej młodej osoby byłaby dobra naiwna, gdyby ją oddać do jakiej dobrej szkoły pod dobry kierunek.

Płeć piękna wyróżniła się na innych polach w tym sezonie; jakiś impresario wynalazł u nas ośmastoletnią olbrzymkę, którą zabrał do cyrków zagranicznych; inny znów wykrył atletkę, popisującą się stalowymi mięśniami à la Voss i Pytlański, a jeszcze inny natrafił na śmiałą aeronautkę à la Leroux, która powiększa zastęp „naszych spadochronistów” i pozazdrościła laurów Leonii Dare.

Zesłi niedzieli, gdyby nie deszcz, byłibyśmy patrzali na śmiały skok panny Janiny, która gotowa była z pola mokotowskiego wzbic się pod obłoki a potem spuścić się na ziemię pod spadochronem.

Jak na młodą pannę odwaga to nie mała; szkoda tylko, że zużyta w tak marnym celu, jak zabawienie gawiedzi.

Jeszcze jedno, ale w odmiennym rodzaju, wyróżnienie mam do zanotowania w bieżącej kronice kobiecej; oto kassyerem kolejowym na stacji Mława zamianowaną została córka jednego z byłych urzędników tej kolei.

Mamy już kobiety telegrafistki, będziemy mieli teraz oficjalistki kolejowe; a więc zakres działalności kobiet powiększa się powoli, ale niestannie.

W Warszawie dla samotnych pracowni, pozabawionych opieki rodziny i własnego domu powstaje w tych dniach tak zwany *boarding-house*; jest to rodzaj pensjonatu, w którym za miernym wynagrodzeniem osoby przyzwioite, wolne, znajdują pomieszczenie i utrzymanie wygodne.

Zakład taki przyda się bardzo i chyba lokatorem mu nie zabraknie, bo Warszawa ma sporo kobiet samotnych, które o własnych siłach idą przez życie a nie mają własnego domu, gospodarstwa i tych drobnych a koniecznych wygód, tej opieki starannej, która się im należy.

Pomysł urządzenia takiego niewieściego falansteru wydaje mi się też z powyższych racji bardzo praktycznym, zwłaszcza jeżeli jego wykonanie opartem będzie na warunkach, zabezpieczających nie tylko pod materialnym, ale i moralnym względem dobrą opinią zakładu.

Z działalności pań naszych, które dość często występują z dobrą inicjatywą, doprowadzoną nawet energiczniej do skutku, niż niejeden projekt przez „królów stworzenia” podnoszony, zanotować muszę z obowiązku kronikarskiego zamiar urządzenia corocznej mleczarni, w której z całym zaufaniem będzie można poddawać się nawet kuracji mlecznej, bez narażenia się na katar żołądkowy, dyfteryt i inne choroby, udzielane obecnie konsumentom mleka za pośrednictwem poczeiwych krówek, dyabelnie zdyskredytowanych w opinii przez panów bakteriologów.

Drugi projekt ma charakter filantropijny; chodzi o dostarczanie odzieży biednym rekonwalescentom, wychodzącym ze szpitalu.

Rzecz to ważna pod względem sanitarnym.

Taki wypisany pacjent, zrzucawszy z siebie bieliznę szpitalną, szlafrok i pantofle, musi przywdziawać znowu swoje własne łachy, przesiąknięte brudem, nędzą, wszelakimi mikrobami i ma znowu na ciele skorupę, która go nowej choroby nabawić może.

Jako środek prezerwatywny służyłoby nowe ubranie czyste, przewietrzane, ochraniające od wpływów niepogody i klimatu.

Starzyzną taką z ofiar prywatnych możnaby gromadzić w ciągu całego roku; nie brakłoby poczeiwych dusz, któreby znoszony surdut, palto, kamizelkę, bieliznę i inne szczegóły garderoby bez uszczerbku własnego mogły przeznaczać do magazynu „opieki nad rekonwalescentami.

W tych czasach zwłaszcza, kiedy tak bardzo trzeba przestrzegać czystości, należałoby jak naj-

rychlej wprowadzić w życie ów projekt podyktowany przez dobre i miłosierne serca kobiece.

Mam też nadzieję, że same inicjatorzy przedsięwzięcia uporają się ze swoim wnioskiem, aniżeli poczciwi inicjatorzy Bazaru rzemieślniczego, nad którego utworzeniem lata całe suszą sobie głowy, strzegąc języki, psując pióra ludzi dobrej woli, rozumiejący lepiej od całego ogółu interes naszego przemysłu i naszych rzemieślników.

Ostatecznie kapitał 10.000 — czyny jest podobno z wielkim mozołem zebrany; spółników dotychczas jest tylko siedmiu (!), z chwilą dokończenia liczby założycieli, podpisana zostanie umowa rejentalna, zabezpieczająca byt przedsiębiorstwa i interesa spółki.

Z warunków ogłoszonych już drukiem, godniejsze uwagi są następujące:

„Za długi spółki żaden spółnik udziałowy nie odpowiada swoim majątkiem, tylko wkładem 1.000 rublowym.

„Za prywatne długi spółnika przedsiębiorstwo na siebie odpowiedzialności nie bierze, a udział 1000-rublowy żadnym nie podlega arestom.

„Do bazaru przyjmowane będą tylko wyroby rzemieślników cechowych a nadto wyroby kobiece i przemysłu wiejskiego.

„Bazar zajmować się będzie sprzedażą jedynie na rachunek osób, które towar swój wystawiły.

„Z czystych zysków spółki 25% idzie na kapitał zapasowy, reszta do podziału pomiędzy spółników.

Wszystko to zdaje się zapewniać Bazarowi nader racjonalną i praktyczną podstawę bytu; poczyniono również starania, aby go zareklamować na prowincyi i w Cesarstwie.

Zatem z ciężką biedą dowlecze się nareszcie do celu przedsiębiorstwo, które wszędzie indziej uważane jest za zyskowne i pożyteczne, tylko u nas musiało sobie gwałtem niemal zdobywać zwolenników, aby się stało zadość tradycyi naszej ościżności i obskurantyzmu na pewnych punktach, dotyczących naszego własnego interesu.

Nie mam nic więcej już do zanotowania godniejszego uwagi z ostatnich dni, oprócz wystawy ogrodniczej w Łodzi; powstała ona z inicjatywy warszawskiego Towarzystwa ogrodniczego, które w ten sposób zamierzało ożywić ruch i zajęcie się sprawami ogrodnictwa na prowincyi.

Jako najludniejsze i najbogatsze po Warszawie miasto, obrano Łódź na początek. Projekt nie udał się o tyle, że wystawa nie dała pełnego obrazu całej gubernii pod względem rozwoju i stanu ogrodnictwa; ale samo miasto, słynące z parków i oranżeryj bogatych przemysłowców i fabrykantów miejscowych wystąpiło świetnie.

Ogrody Scheiblerów, Herbstów, Poznańskich i innych potentatów łódzkich dostarczyły okazów licznych i podziwu godnych.

Prywatna własność popisała się też znakomicie.

Ludzie bogaci mogą sobie pozwolić na ozdobę swoich siedzib, nie szczędząc dużych nawet nakładów; oni też wzięli najwyższe nagrody i odznaczenia za ogrodnictwo ozdobne, które się w Łodzi z ich inicjatywy i ich kosztem tak pokaźnie rozwinięło.

Ogrodnictwo zawodowe, hodowla na sprzedaż, ogrody i sady ludowe nie dopisały.

Że zaś w tym kierunku jest u nas jeszcze dużo do zrobienia, wątpić nie można; obawiam się tylko, aby i tego nie schwycili w swe ręce cudzoziemcy, spekulujący na naszej niezaradności.

Oto jednocześnie z wystawą łódzką zakwitła w naszych pismach wiadomość, iż Towarzystwo akcyjne, złożone z francuskich i belgijskich ogrodników wysłało do Rosyi swoich agentów, pp. Villard i Venceau du Lille dla zebrania informacji, czy będzie możliwym urządzenie w Petersburgu, Moskwie i Warszawie stałych wystaw sprzedażnych kwiatów i roślin, na wzór istniejących w Paryżu, Brukseli i Londynie.

Kwiaty i rośliny byłyby przysyłane z zakładów ogrodniczych Towarzystwa pociągami kurierskimi w wagonach, specjalnie do tego urządzonych dla uchronienia tyle wrażliwego towaru od wpływów atmosferycznych.

Cóż na to powiedzą nasi panowie ogrodnicy,

którzy jakoś targu świeżych kwiatów nie zdołali dotychczas urządzić jeszcze za Żelazną Bramą?...
Quis.

Z ETYKI STAROŻYTNEJ.

(Dokończenie).

Umysł ludzki zaczynał zawsze snuć swoje pojęcia moralne od rodziny. Stosunek dzieci do rodziców i naodwrot rodziców do dzieci, stosunki rodzeństwa pomiędzy sobą — były zawsze i wszędzie gniazdem i kolebką moralności teoretycznej. Najoryginalniejsza nawet myśl za punkt wyjścia obierając sobie musi rodzinę, pojedynczą, naturalnie, aby u kresu swego dotrzeć znowu do rodziny, ale już złożonej, w oderwaniu się od natury, przez rozum i uczucie, ze swobodną energią woli, a nie pod działaniem instynktów ślepych powstającej. Ton zasadniczy wszelkiego filozofowania o moralności wydobyc można tylko z tej teorii, jaką sobie kto wytworzy o rodzinie, — czy to będzie samoukiem, idącym na ochotnika walczyć z hydrą niewiedomości, czy też Platonem lub Arystotelesem, Annikerysem lub Plutarchem, dość umysłowo silnym, aby bez niebezpieczeństwa na bojowanie o prawdę wyruszyć. Jak całośćka rodzinna jest pierwszym elementem życia moralnego, tak znowu pojęcie syntetyczne rodziny jest pierwszym elementem filozofii moralnej. Najidealniejszy rozum, jeśli nie chce skończyć na majaczeniu, musi się rzeczywistości trzymać, z niej się wzbijać i w locie swoim ustawicznie do niej ciążyć.

Wymieniłem tu Plutarcha — nie bez powodu. Żył on już pod wieczór umysłowości antycznej, zmarł za Hadryana, a wskutek usposobienia swego umysłu i kierunku swej działalności literackiej, może i powinien nawet być uważanym za ostatniego już posiadacza fidei-komissu, przekazanego nam przez świat starożytny w postaci pojęć filozoficzno-moralnych. Pisarz i nauczyciel poważany, szczerzy idealista, przywiązany do stoicyzmu, ale nie bezwzględny wyznawca szkoły, pilny przytem dostrzegacz stosunków panujących w naturze, posiadał nadto jeszcze Plutarch ekлекtyczną metodę dowodzenia prawd wyznawanych, a przy zadziwiającem odczuciu się i pamięci — mógł z niej jaknajlepiej korzystać dla przekazania pokoleniom przyszłym tego wszystkiego, co nurtowało serca, zajmowało umysły, stanowiło jakby wspólne dobro ludzi wyższych, myślących o rzeczach wszystkim wspólnych. Zastrzeżenie do tego starego myśliciela nie będzie bez pożytku i dla dzisiejszego umysłu, a niezawodnie sprawi mu przyjemność podaniem tej prawdy, która sama wybucha w słowa: „nie nowego pod słońcem“.

Nic nowego nie mówił Rousseau, gdy, zestawiając rodzinę ze społeczeństwem, pierwszej za kodex — miłość, drugiemu sprawiedliwość nadawał. Prawo miłości rządzi także i rodziną u Plutarcha. W trzech jego zwłaszcza rozprawkach: o *wychowaniu*, o *miłości rodzicielskiej* i o *miłości bratniej* jako fundament moralnych stosunków w rodzinie występuje miłość pomiędzy istotami ją składającymi.

Natura już sama uczy człowieka miłości: „Patrzcie jak kokosz troszczy się o pisklęta swoje, jak je skrzydłami swemi osłania, jak je zwoluje do siebie i wesółym głosem wita. Gdy jest sama ucieka przed psami i węzami; ale niechno tylko niebezpieczeństwo zagrozi dzieciom, a staje w lot do odporu, walczy nawet nad siły“. I zaraz piękny z tego spostrzeżenia powszedniego wysnuwa Plutarch wniosek: „Myślicie, że natura wszczepiła taki popęd nieprzeciwieństwom tylko z dbałości o trwałość gatunku kury, psa lub niedźwiedzia? Nie, chciała ona także nas zawstydząć przykładami swemi. Tym, którzy się jej trzymają, daje wzór do naśladowania, tym, którzy się wyrzekają uczuć, wyrzuca ich nieczułość“. Natura ludzka spaść może niżej od zwierzęcej, jeżeli nie zdoła kochać bez-

interesownie. Błądzi Epikur, mówiąc, że tylko przez egoizm, dla własnego pożytku ojciec kocha syna, matka swoje dziecko, a dzieci — dawców swego żywota. Nie byłoby to hańbą, gdyby wszystko to, co się składa na pojęcie rodzicielstwa, u zwierząt było darem nieulegającym zwrotowi i niezobowiązującym do zapłaty, a u człowieka stanowiło tylko pożyczkę, zastaw — dany w widokach korzyści?

Zdanie Epikura błędne jest z tego względu, że natura mniej zrobiła dla zwierząt, niż dla człowieka. Jak uzdolnienie naturalne rośliny nie wystarcza jej samo przez się do wyprowadzenia dojrzałego owocu, tak i zasób płodności w nierozumnych zwierzętach dla własnego płodu, nie sięgając poza obręb potrzeb niezbędnych, nie wystarcza dla człowieka, — bo nie wyda z siebie nigdy sprawiedliwości. Człowieka, twór rozumny, przeznacza natura do sprawiedliwości i prawa, do czei bogów, do cywilizacji, do zespołu uczuciowych, i zasiewa też w niego szlachetne, wspaniałe ziarno cnót wszelkich: miłość i czułość dla dzieci. Natura jest doskonałą: kocha się w dokładności, lubi tworzyć rzeczy piękne, nie zostawia nic nie dokończonym i nie zupełnym; Erasistratus powiedział o niej: „nie bawi się w tandetę“. I dlatego miłość rodzicielska, o ile jest darem samej natury, wystarcza niezawodnie i rodzicom i dzieciom do wspólnego im przeznaczenia. Cała organizacja ciała nie-by nie znaczyła bez organizacji duszy; wszystko, co podziwiamy w obiegu życia, falującego w coraz-to nowych pokoleniach, byłoby nieużytecznym, gdyby natura nie była matkom wszczepiła miłosnej troski o dzieci.

Słowa Homera:

*Człowiek bowiem największym był zawsze nędzarzem
Ze wszystkiego, co w świecie rusza się i żyje* (1).

stosuje Plutarch przede wszystkim do niemowlęcia i obrazowo stawia przed oczy jego całą bezsilność i wszystkie niedole. Bez miłości matki stara śmierć pochłonięłaby młode życie. Gdy dziecko już podrośnie, co je trzyma, jeśli nie miłość? Co je żywić i wychowywać zmusza? Czy żąda przyszłych korzyści i zysków? Jaki egoizm nakazuje matce niedosypiać nocy, zapominać o własnych wygodach? Nadzieja rodziców jest zawsze niepewna i daleką zawsze idzie do człowieka drogą. Właściciel winnicy może liczyć na to, że gdy na porównanie wiosenne okopie szcep, na porównanie znowu jesienne będzie miał winogrona; rolnik, gdy zasieje pszenicę wtedy, gdy Plejady schodzą już z nieba, zbiera je nanow z ich wejściem. Ale czy zbierze co ojciec i kiedy? Wychowanie opasuje nas całym łańcuchem trudów; wzrost dziecka jest powolny; większość rodziców umiera, zanim się szczęścia dzieci swoich doczeka: jakież tu osobisty interes może do działania pobudzać? Oto np. Neokles nie dożył zwycięstwa Temistoklesa u Salamin; Miletyades bitwy stoczonej przez Cymona nad Eurymedonem; Xantippus nie słyszał nigdy Peryklesa przemawiającego na agorze; głos filozofującego Platona nie uderzył nigdy o uszy Arystona; tryumfów Eurypidesa i Sofoklesa nie doczekali ich ojcowie...

Evenus, elegik z V w. przed Chrystusem, powiedział:

Syn jest dla ojca swego zawsze udręką lub trwogą.

Ale to nie wstrzymuje rodziców od wychowywania dzieci. W największej nawet słomocie, namiętności, przy największym upadku obyczajów, wybija się jeszcze na wierzch miłość do dzieci. Tak w rudzie złotej, najbardziej nawet ziemistej, prześwituje zawsze jeszcze złoto.

Jeden ze znakomitych poetów dramatycznych starożytności wyrzekł wspaniałe słowo:

Miłość człowieka mieć można tylko za cenę człowieka.

Siebie samych oddajemy tym, których kochamy. Miłość prawdziwa — w nietrywialnem znaczeniu, pojmowana jako w ogóle związek duchowy dwóch odrębnych istot ludzkich, zespala je w ca-

1) Iliada, XVII, 446 i 7.

łość nierozrywana na wzór tej spartańskiej doktryny, uosabiającej braterstwo Kastora i Polluxa, z których jeden bez drugiego żyć nie chciał, a kiedy Jowisz ofiarował Polluxowi boskość zupełną, doskonałą w niebie,—odrzucił ją, bo musiałby się z bratem rozłączyć: wołał razem z nim doczesność, niż bez niego wiekielność. Nieśmiertelność miał też z nim wspólną, jak i wspólną ziemską dolę. Od przypomnienia tego pięknego mythu, nasuwającego nasze starodawne podanie o Letum-Polelum, ozłoczone przez nowożytny geniusz—zaczyna Plutarch rzecz o miłości braterskiej.

Złota legenda Starożytnych nie zaczynała się, jak nasza, od kaimowego bratobójstwa: łatwiej więc im było stawiać twierdzenie, że niegdyś nienawiść brata do brata była równie rzadką, jak dziś (za Plutarcha) jest miłość. W owych do- brych czasach nadziwiano się z Molionidów, co-to czołami zrosnieni, mieli jednak nogi, ręce i głowy osobne: za czasów już Plutarcha dziwiono się na widok bratnio zrosłej pary rodzeństwa. Wspólne korzystanie z majątku ojcowskiego, z niewolników, z przyjaciół należało do niesłychanych rzadkości.

Przedewszystkiem, jeżeli człowiek chce mieć przyjaciela, powinien go szukać w swym bracie. Kto z bratem koty drze, a z targowicy miejskiej przyjaciela sobie sprowadza, ten przypomina człowieka, któryby sobie nogę zdrową odjął, a w jej miejsce drewnianą wprawić nakazał. Przyjaźń jest w większej części wypadków tylko cieniem, odbiciem tej pierwszej przyjaźni czy miłości, jaką natura wszepełiła w dzieci względem rodziców, i wzajemnie pomiędzy rodzeństwem. Jeżeli obieg bratem nazywasz, a swojego za brata nie uznajesz — coś wart? Kto Naturę za najświętszą i największą świątynię uważa, ten nie będzie jej nienawiścią bratnią bezczęścił. Człowiek nie może bogom miłszej złożyć ofiary nad tę, gdy rodzicom swoim i bliższym — a więc i braciom — dawny dług wdzięczności, jakby nowymi procentami narosły, radośnie ochoczem sercem spłaca. W niczem się tak bezbożność nie okazuje, jak w pogardzie i zaniedbywaniu rodziców. Dobrze dziecko będzie się starało serca rodzicielskie radować; a czyż sprawiać im cokolwiek może większą radość nad widok miłości bratniej, zespalającej ich dzieci jedne z drugimi?

Wspólne powinno być używanie dóbr, wspólne trudy, prace, zabawy. Rodzicom milej jest patrzeć, jak się ich dzieci pomiędzy sobą kochają, niż widzieć je mężami wpływowymi, sławnymi. Appolonis, matka Eumenesa i trzech jeszcze synów dziękowała bogom, że młodszy otaczają starszego miłością bez zawiści. Miłością bratnią dowodzą dzieci miłości synowskiej; dla nich samych jest to najlepsza szkoła i najlepsza wzorownia. Nienawiść pomiędzy rodzeństwem wypłenić, tępić — ile sił! Zły to opiekun rodziców na stare ich lata, zły wychowawca młodych pokoleń. Trudniej odzyskać brata raz straconego dla serca, niż przyjaciela, z którym się poróżniło; trudniej naprawić miłość bratnią, gdy raz pięknie, niż przyjaźń.

Bywają i źli bracia. Jak sobie mają poczynąć z nimi dobrzy? Przedewszystkiem pamiętać, że niema doskonałości na ziemi. Wszelka przyjaźń ma na sobie skazę jakąś. Trzeba być podobnym do owego Lakończyka, który, biorąc sobie żonę niskiego wzrostu, zawołał z humorem: „wybiera się złe najmniejsze“. Teofrast powiedział, że przyjaciela trzeba pierwzej zbadać a potem dopiero wybrać. Ale co innego brat, a co innego przyjaciel. Wobec brata milnie maxyma, że trzeba wprzód z kimś zjeść beczkę soli, zanim się go weźmie za przyjaciela: przyjaźń powstaje tu wraz z nami samymi. Wkupywanie się w łaski rodziców nie powinno się dziać nigdy na szkodę brata. Przeciwnie, jeżeli nawet ojciec rozgniewa się na jedno dziecko, drugie ma obowiązek przyjąć na siebie część jego gniewu. Taki brat będzie miał prawo strofować brata za przywary i zdrożności, a oszczędzając zawsze jego miłość własną, wystrzegać się będzie w stosunku do brata radości z cudzego upadku. Jest coś szlachetnego w tem, gdy się brat ujmie za brata i otrzymuje w ten sposób niezaskuszenie napomnienie i karę od rodziców.

Za życia rodziców nie przebywa się jeszcze całkowitego nowicyatu braterstwa. Zasługa rzetelna dopiero okazywać się bratem prawdziwym, kiedy już prochy ojcowskie w urnie. Jęzga cheiwości rusza wtedy na miłość braterską i wiedzie za sobą wszystkie inne. Plaga są zausznicy. Pollux zabił jednym zamachem pięści śmiółka, który odważył mu się szepnąć coś na brata. Gdy już niemożna pójść za radą Platona i znieść różnicę pomiędzy „moje“ i „twoje“ — niechajże przynajmniej doskonała w podziale dóbr ojcowskich panuje równość. I tak jeszcze pozostanie dużo nierówności i jeden brat będzie miał wyższość nad drugim. Obowiązkiem wyższości będzie zapominanie o sobie, podnoszenie do siebie tego, co niższe, zupełne zniżenie się nazewnątr, ustawiczne tłumienie pychy. W niższym, upośledzonym panuje naturalny pociąg do zawiści; oprze mu się, jeżeli w sobie wrazi to przeświadczenie, że są na świecie i rozumniejsi i bogatsi i sławniejsi od jego brata. Wogóle nie powinni bracia przypominać wagi, w której jedna szala podnosi się tylko wtedy, gdy druga opada. Palec, który gra na cytrze, nie jest przez to lepszym od palca, który grać nie umie: jeden drugiemu pomaga, a taki mają już układ, że drobniejsze śpieszą większym z pomocą. Młodszy brat powinien cześć i słuchać starszego; starszy przecież nie powinien mu po ojcowsku rozkazów wydawać, ale raczej po przyjacielsku śpieszyć mu z radą, ciesząc się, gdy go może pochwalić. Młodszy znowu naśladować starszego, a nie współzawodniczyć z nim ma obowiązek. Naśladownictwo jest dziecięciem podziwu; współzawodnictwo — płodem zawiści. Pięknie wychodził Kato ze swoim starszym bratem Caepionem. Znaną też jest cześć, jaką bracia otaczali Epikura. Wreszcie, co powiedział Teofrast o przyjaciółach, że przedewszystkiem wspólnych powinni mieć przyjaciół, stosujemy się do braci. Zna brata, rzecz święta, ze świętości największa, ma prawo do trwałego szacunku. Ujmować się za nią potrzeba, godzić się z mężem, przed jej trybunał wnosić skargi na brata. Bratanki też niechaj będą przedmiotem szczerej życzliwości. Toć Herkules nie miał nikogo miłszego nad Jolause, swego siostrzeńca, i dziś jeszcze — za Plutarcha — w wielu miejscach ma ukochany Jolaus wspólne z nim ołtarze.

I tak miłość we wszystkim. Kto od niej w stosunkach rodzinnych nie uciekał, do tego i na wielkiej widowni społecznej znajdują zastosowanie przesłane słowa Menandra:

Kto ludzi kochał, tego nie łatwo ludzie zapomną.

Stanisław Krzemiński.

TOMCIO I ROMCIO

HUMORESKA

przez

ESTEF.

(Dalszy ciąg.)

Myszkę martwiło to bardzo, — gdy szli pod rękę przez Prater, rzekła: — Pan ukrywasz coś przedemną. Proszę pamiętać, że tajemnie nie powinno być między nami.

Tomciowi jeść się chciało, bo była już piąta godzina, a on spożył tylko lekkie śniadanie. Nie chciał pójść na obiad z temi paniami pod pozorem, że spotkał „dawnego“ kolegę, który potrzebował jego pomocy w jakiejś ważnej sprawie, i to właśnie w godzinie obiadowej.

Jeść mu się chciało, ale przecież tej tajemnicy nie mógł wyznać swojemu narzeczonej, rzekł tylko: — Głowa mnie trochę boli, ale to minie. Zbyt wiele szczęścia szkodzi człowiekowi; — nie spałem noc całą, myśląc o mojej pani, a teraz zmęczony jestem.

— Weźmiemy fiakra, — nie pozwolę panu się

męczyć. Zawołaj pan! — Kutscher! wołała sama Myszka.

Tomcio opierał się energicznie. Za nie w świecie panno Melanio! Ruch najlepszy na ból głowy. Niech mi pani wierzy.

— Nie! nie! siadamy do fiakra. Babciniuni, wszakże babcia także zmęczona?

I siedli, bo tak chciała panna Melania. Tomcio zapłacił furmana i.... i.... dziwna rzecz, przestał już nawet marzyć o pocałunku — tak mu się jeść chciało. A tu nazajutrz niema nawet co myśleć o śniadaniu!

Wieczór nadchodził; zdecydowane było od rana, że wieczór ten poświęcony będzie cyrkowi. Pan Tomasz lubił cyrk, bardzo nawet lubił, i gdy się godzina ósma zbliżała, a on czuł, że pod pozorem bólu głowy będzie musiał zamiast do cyrku udać się do swego samotnego zimnego pokoju w hotelu pod białym orłem, to mu się życie całe zarysowało w wyobraźni jako jedna wielka, skomplikowana męczarnia. Usiadł w kącie na fotelu, tam gdzie światło lampy nie dochodziło i kłął w duchu wszystko i wszystkich.

Myszka tymczasem ubierała się w drugim pokoju, aby na ósmą być gotową, bo do tej pory ludził ją Tomcio, że pójdzie, że mu będzie lepiej.

Myszka od czasu do czasu wsuwała przez uchylone drzwi swój zadarty nosek i śmiejące wielkie oczy, pytając troskliwie:

— I cóż? głowa?.....

— Będzie lepiej — odpowiadał Tomcio. Wtedy Myszka — (o zgrozo! jeżeli tragedya niniejszą, mamy do rąk panienek dopuszczają, zaleca się im, by następujące linie starannie atramentem zamazały). Wtedy Myszka przykładła różowy paluszek do różowego dzióbka i zlekka po cichutku, jak, żeby babcia nie usłyszała, posyłała Tomciowi pocałunek — bez skrupułu, bez wyrzutu sumienia. — To mój narzeczony mówiła sobie, — kto mi zabroni?

Kto? Nie Tomcio, naturalnie. Ile razy Myszka, drzwi uchylając pytała: — a teraz czy nie lepiej? ile razy na otrzymaną odpowiedź przysyłała mu ten sam rozkoszny choć czysto platoniczny pocałunek, tyle razy serce jego rwało się na strzępki z rozpaczy.

Aż nareszcie weszła już pani serca jego w całym blasku swej urody, — tak jej było ładnie w sukience mysiego koloru obłożonej czemś co do mysiej skórki podobnem było, — tak jej było ślicznie z bukietem fiołków, darem od narzeczonego wpiętym do futerka, w które była jak w ramy ujęta, tak jej było pięknie w rozfryzowanych loczkach, które złotymi promieniami czoło jej wieńczyły, że Tomcio patrzył na nią z zachwytem, myśląc w duchu: — co to będzie? co to będzie?

Do tej-to niepokojącej myśli przyplątywała się inna, posępna w swej ironii.

— Ten bukietek fiołków to moje śniadanie jutrzejsze.

Ale przy tej myśli nie zatrzymywał się długo.

Tymczasem Myszka zapaliła maszynkę, położyła na niej szczypek do zakręcania loczków i czekając aż się ugrzeją, mówiła.

— Widzi pan, jaka zemnie pocziwa „nie-wiasta“.

Babcia musiała tak mi pomagać przy ubieraniu, że teraz biedactwo jeszcze z półgodziny sama się stroić będzie. Która to godzina?

Tomcio zmieszał się trochę i odparł: — mój zegarek w naprawie, — pękła sprężyna.

— Proszę spojrzeć na mój, — odparła niewinna Myszka, która wpadała we wszystkie pułapki bólów głowy, pęknięcia sprężyny etc.

Tomcio spojrzał posłuszny, gdy jego pani już loczki kręciła.

Wpół do ósmej.

— To mamy jeszcze dwadzieścia minut czasu, ja tu dawno już maszynkę przysposobiłam, bo wiedziałam, że się pan nudzić będziesz bezemnie. Babcia nie spostrzegła.

— Jaka pani dobra! — i chciał na dowód wdzięczności wszystkie dziesięć paluszków obcałować, ale szło to zwolna, bo Myszka wołała co chwila: — oparzę się, oparzę się!

Już loczki skończone, panna Melania jeszcze

piękniejsza. Stoi zadumana nad maszynką i nie gasi płomienia.

Tomcio w nią wpatrzony nie mówi, aby niepotrzebnie sił nie wyczerpywać; Myszka wystraszona zachwyty, który w oczach jego czytała.

— Wie pan o czem ja myślę? — pyta nagle panna Melania.

— Nie wiem.

— Gdyby pana wasy były trochę — troszeczkę w górę zakręcone, byłyby jeszcze ładniejsze.

— Doprawdy? Nie podobają się pani? — pytał strapiiony Tomcio.

— Naturalnie, że mi się podobają, przecież dałam tego dowody, — ale, gdyby były zakręcone, to, doprawdy, niech mi pan wierzy, byłoby je lepiej widzieć.

— Może być — mówił zafrasowany pan Tomasz, spoglądając z wielką nieufnością na szczypczyki, ale — ale ja jeszcze nigdy nie zakręcałem, pewnie-bym nie potrafił.

Myszka główką kiwnęła: — To nie! Wie pan co ja myślę?

— Nie.

— Że to-by przecież nie nie szkodziło, gdybym sama je zakręciła. Ja potrafię. Przecież pan mój narzeczony, a babcia i tak nie zobaczy, bo tam teraz wszystko układa, — ja wszystko porozrzucałam!

— Jaka pani dobra, panno Melanio!

— Chce pan?

— Nie miałbym chcieć! Czegóżbym mógł jeszcze pragnąć na świecie, jeśli nie tego!

— No to prędzej, póki babci nie ma.

Tomciowi nie było tak śpieszno, — przecież dorabiał się wąsów z wielkim mozolem, a jeszcze nie doszedł do tych rezultatów, jakie pragnął otrzymać, — miałże teraz oddać ten drogi dobytek w ręce panny Melanii, w ręczki o ile cudne o tyle roztrzepane!

Ryzykowna rzecz.

— Ależ kto nie nie ryzykuje.... pan Tomasz chciał w duchu zakończyć znane przysłowie utartą końcówką, — tylko, że był pesymistycznie usposobiony dnia tego i dośpiewał w myśli — ten nie skręci karku.

Ale panna Melania czekała, unosząc w górę szczypczyki — więc cóż było robić? Ryzykować, naturalnie.

Niestety! czarne przecucie nie omyliło pana Tomasza. Pierwszy wąsik, co prawda, już w górę się podnosił junacko i sterczał dumnie, a Myszka tryumfalnie na niego spoglądała, — ale za to drugi!

Bo też babcia mogła się cicho sprawić w sypialnym pokoju; — gdzie tam? od czego babcie jeżeli nie od grania roli śnieżnych okładów w zachwytach młodzieńczych.

Otóż stara matrona w krytycznej chwili stuknęła mocno o drzwi — czem? niewiadomo, bucikiem, czy dzbankiem? — Tego historia zbadać nie mogła, czy nie umiała, dość, że stuk był wielki, a Myszka nie wątpiła, że się drzwi otwierają z łoskotem, i że są w nich zagniewane lica „babcini“ ukazują.

Z przestrachu wsunęła szczypczyki dopiero z ognia zdjęte Tomciowi do ręki i odskoczyła o dziesięć kroków; Tomcio stracił przytomność umysłu i, nie ostudziwszy szczypiec, sam uchwycił w gorejące kleszcze mężką ozdobę swego oblicza, coś zasyczało, małeńki dymek uniósł się w górę, małeńki śwędnik rozszedł się po pokoju, — i taki był smrotny koniec tego wasy, który dopiero zaczął się rozglądać po świecie.

Stali tak chwilę w milczeniu, — nareszcie panna Melania, kobieta bez serca i bez sumienia, parsknęła śmiechem srebrzystym, — śmiech ten niby gamma z kryształowych dzwoneczków rozsypał się w powietrzu dźwiękami pieścącymi ucho, ale tem panu Tomaszowi śmiech ten robił wrażenie zgrzytu piekielnego; kielich goryczy, którym się poił od dni kilku, zamiast się wyczerpać, przelewał się w tej chwili, jadłem serce jego karmiąc.

Cierpieć i móżdż się poskarżyć, znośić męczarnie i móżdż jęczeć z bólu — to jest rzeczą ludzką; ale cierpieniu stawiać pogodneczo — to jest bohaterstwem.

— Jak pan śmiesznie wygląda, panie Tomasz.

Ten jeden was! Nie! Ja umrę ze śmiechu! Ten jeden was! To klasyczne. Ha ha ha ha.

I jechała dalej w zapamiętaniu swojemu, nie myśląc, co się w tem zbolełym sercu dzieje.

Tomcio śmiał się także, ale tem śmiechem, jaki znany jest tylko duszom na głęboką boleść skazanym.

Nareszcie babcia weszła zaciekawiona: co tak rozmieszyło tę zakochaną parę.

Tomcio chustkę przy ustach trzymał i mimo nalegań Myszkę, by się pokazał babci w całej oryginalności swego wyglądu, wymawiał się bólem głowy wzrastającym do potężnych rozmiarów.

— Prawda! — zawołała Myszka, znowu ręce łamiąc: — To nasz cyrk przepadł na dzisiaj.

— Odprowadzę panię — rzekł Tomcio — i wrócę pod koniec przedstawienia, u wyjścia poczekam. Wypocznę kilka godzin, to mi będzie lepiej.

Ale ani babcia, ani wnuczka nie chciały przystać na to poświęcenie. Myszka nie miała wcale ochoty przedstawiać się światu z narzeczonym o jednym wąsie, a babcia rada była, że się położy trochę wcześniej.

Noc cała, zamiast być odpoczynkiem, była dla niego pana Tomasza tylko jedną męczarnią; spać nie mógł, — ale też nie był zupełnie przytomny, — figlarne oczy panny Melanii, bifstek z jarzynkami, was palący się płomieniem na stosie, comber sarni na rożnie, i znowu ręczka panny Melanii z bukiecikami fijołków, — wszystko to płało się w jego wyobraźni, majaczyło, łączyło, rozpierchało i znowu, ujawniając się w jeden łańcuch nieprzerwany, tańczyło wściekłą sarabandę.

Mijała godzina za godziną, — nadszedł ranek pośpy, pochmurny, błoto szaro czarne, gęste błoto wydawało się tłem najstosowniejszem dla wszystkich dramatów odgrywających się na ziemskim obszarze; niebo ołowiane, czarne chmury tuż, tuż nad ziemią, przytłaczające ją swoim ciężarem, zdawały się najstosowniejszym horyzontem dla tego, co się działo w duszy pana Tomasza.

— Która to godzina być może? — pytał sam siebie: — zegarek zastawiony. Wszystko zastawione! Jedyny ratunek, spać póki się da. A potem?

Ciemno było jeszcze i ciemno być miało dzień cały. Tomcio pomyślał: — musi być jaka szósta — i zapadł znowu w stan na pół przytomny.

Tymczasem zwolna, poważnie na pobliskim gmachu wybiła ósma, — wybiła dość głośno nawet — i biła tak godzina za godziną, ale zawsze wtedy, gdy Tomcio popadał w stan na pół przytomny, więc słyszeć nie mógł.

Głód obudził go — nie, to jest oćcił, chwilę później.

Podniósł się raptownie, posiedział chwilę na łóżku z głową ukrytą w dłoniach.

— Czy przyjdzie umrzeć z głodu? — pomyślał — czy lepiej w łeb sobie palnąć? Ale ja nie mam ani rewolweru ani żadnej broni odpowiedniej. Zdawałoby się, że umrzeć można w każdej chwili, bez przeszkody, a i to nawet trudności przedstawia. Została mi jedna szpilka od krawata, tak, ale za to rewolweru nie kupię, najwyżej strychniny — jak dla szczura.

Dreszcz go przejął. A taką to dziwną gmatwaniną myśl się płącze, że po szczurach, myszy stanęły mu w oczach i Myszka naturalnie — i wczorajszy wieczór — i schwycił się za was opalony.

Smutnie teraz zwiesił głowę na piersi i rozważał: jakie to igraszki losy uczyniły sobie z niego.

Umrzeć, — umrzeć musi każdy — myślał, — takie jest nieubłagane prawo, śmierć wzbudza współczucie, poszanowanie; — śmierć ma w sobie pewien uroczysty majestat. Ale ja i tego zadowolenia mieć-bym nie mógł, — do czego byłbym podobny, nawet w trumnie, z opalonym wąsem? Trzeba przedewszystkiem się ogolić; sam nie potrafię, — na to trzeba wprawy; więc muszę pójść do fryzjera, — znowu kilka centów... Coraz mu było smutniej.

Spojrzał na ten pokój ciemny, ponury; — w tym pokoju mógł niebawem spocząć wiecznym spoczynkiem, do którego nie tęsknił wcale.

Dreszcz go przeszedł, a skoro na śmierć zawsze jest czas, nawet w ostatniej chwili, więc się ułożył na poduszce, koldrę wyżej pociągnął i wpadł w stan na pół tylko przytomny.

Wybiła godzina dziesiąta.

Wkrótce potem głód go wyrwał z zupełnego odrętwienia. Z zimną krwią powiedział sobie: — Jeszcze mi się chce.

Poczem wpadł znowu w stan letargiczny, który zwykli śmiertelnicy byliby lekceważąco snem nazwali.

Wybiła jedenasta. Tomcio ocknął się i rzekł:

— Która też może być godzina? Za ten zegarek kupiłem jej dwa bukieciiki, dwa pudła cukierków i byłem z niemi na „Orfeuszu w piekle.“ Alboż ja to w piekle nie siedzę po uszy? Siarczyście mi się jeść chce. Dyabelnie nie wiedziałem, że to takie ohydne uczucie. Za godzinę wstanę, bo dłużej nie wytrzymam; teraz pewnie ósma być musi. Wstanę, pójde się ogolić, bo tak zostać nie mogę. Tu mi na kredyt jeść nie dadzą. Płaci się gotówką, a za numer już jestem winien. Pójde chyba po strychninę. Ale czy mi dadzą? Trzeba coś skomponować. Powiem, że mi szczury dziecko zjeść chciały.

Dziecko! — I tu zarysowała się w imaginacji Tomcia cała sielanka. Kwiatek wiosenny z dzieciątkiem na ręku — z jego dzieciątkiem!

Ży mu się zakręciły w oczach.

— Piekielnie mi się jeść chce, — zakonkludował. Obrócił się do ściany, pociągnął poduszkę i wpadł znowu w sen do snu „Nony“ podobny.

Dwunasta wybiła. O dwunastej miał być u tych pań „Pod złotą koroną.“

Gdy się nie stawiał ze zwykłą akuracnością, babcia rzekła do wnuczki:

— Trzeba posłać do niego. On może chory. Ten ból głowy!... wczoraj tak mizernie wyglądał.

— Oh! babciuniu! Jeszcze czego! Zarazby mu się w głowie przewróciło! Nie można posyłać. Nie mu nie jest, tylko taki próżny. Was mu się spalił, więc mi nie chce się pokazać. Przyjdzie jeszcze, przyjdzie. Niech się babcia nie boi.

Wybiła pierwsza. Tomcio nie przyszedł, ale Myszka nie zaniepokoiła się wcale — czekała cierpliwie, aż młody bohater zrezygnuje się na stratę, i ukaże jej oczom bez wąsów.

Obawiała się nawet trochę tego widoku, bo nuż się rozczaruje do niego?

Pierwsza wybiła.

Tym razem Tomcio usłyszał, — ale myślał, że zegar pół godziny uderza niezwykle głośno. Pewnie wpół do 9-ej — rzekł w duchu. Ale trudno. Ja tych męczarni dłużej nie wytrzymam. Mam dziesięć centów, trzeba się zdecydować: albo kawałek chleba, albo strychniny. Jeżeli chleb — to trucizny niema za co kupić. Jest Dunaj, — może się utopić?... Wstrętna śmierć! — i począł się zwolna ubierać. Od czasu do czasu przysiadł, bo mu się ciemno w oczach robiło i nie znaleźć nie mógł. — Oblał głowę zimną wodą; to go orzeźwiło, ale pożałował tej czynności. bo wtedy groza położenia tem jaśniej w myśli mu się zarysowała.

Już był prawie ubrany. Miał wciągnąć tylko owe nowe eleganckie kamasze, do czego niechętnie się zabierał, nawet teraz, gdy oteblań rozpacz czy zamknęła się nad nim. Miał tylko włożyć paloty i cylinder.

Ten cylinder, kupiony na wyjeździe z Lwowa, Wacka mu przypominał. Pocziwy Wacek!

— Choćbym do niego zatelegrafował, toby mi pieniądze nie przysłał, bo nie ma. Wiem, że ich nie ma. Dał mi to, co miał. Ale mu dłużny nie będę. Zostawiłem bicykl; to sprzedam. Będzie zawsze sto reńskich. Jak ja z tym jednym wąsem na ulicę się pokażę! A jak mi strychniny nie dadzą? Spróbuję jeszcze — może kamasze zastawię. Tobym miał na przyzwoite śniadanie.

Stuk, stuk, stuk.

Ktoś stuka do drzwi. Pewnie numerowy z rachunkiem. A to się wybrał!

Tomcio milczy, bo jest tylko na pół przytomny. Wszystko snem mu się wydaje.

Stuk, stuk, stuk. Głośniejszym razem.

Pewnie bilecik od panny Melanii, przypominający łożę na operę. A to się wybrała!

Stuk, stuk, stuk, stuk. Tym razem bardzo głośno. Więc się Tomcio ocknął zupełnie i woła:
— Herein!

Drzwi się otwierają i wchodzi jakaś nieznaną panu Tomaszowi postać, poważny jegomość w okularach i bobrowej czapce. Pan Tomasz myśli:
— To pomyłka—ale jakaś straszna apatya go ogarnęła i nie go nie dziwi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

DWA NAJNOWSZE UTWORY

ORZESZKOWEJ.

Z datą jeszcze roku przeszłego, ale już w roku bieżącym, ukazały się, w przepysznym wydaniu *in octavo maximo*, dwie książki noszące na okładkach nazwisko znakomitej powieściopisarki: w Warszawie obraz dramatyczny p. t. *Westalka* (str. 48 i 2 kulb.); w Krakowie i Petersburgu powieść wiejska p. t. *Bene nati* (str. I—LXV, 1—206). Obie ozdobione są portretem autorki, a nadto jeszcze do powieści Piotr Stachiewicz, niewątpliwie poeta ołówka, dorysował obrazki bardzo wdzięczne, w kilku zaś momentach nawet silną promieniującą charakterystyką. Oba wydawnictwa stanowią miły upominek dla czytelnika polskiego. Sam już zewnętrzny ich wygląd pociąga. Jest to tak ładne, że może się znaleźć na stole każdego nawet domu ceniącego w literaturze przedewszystkiem piękny papier, druk i okładkę, winietę i ilustracyę. A, niestety, domów takich, co-to litują się nad książką, gdy ładna, i dają jej u siebie miłośni przytulę, nie braknie nigdy tam, gdzie pociąg do elegancji cudzoziemczyzny jest ciągle jeszcze chorobą „dziesięciu tysięcy”, gdzie udawanie Francuzów i Anglików stanowi znamię wyższości nad tłumem, gdzie wreszcie, w braku dosadniejszych objawów, miło jest—jak powiedział w przysłowiu dowcipie swoim Fredro—„miło jest... angielską miłą przejechać się czasem.”

Szara *plebs* czytelników w obu wydawnictwach znajdzie i oceni coś więcej, niż książki pięknie wydane: w *Westalce*—smutek rozumu nad światem i w tym smutku *ars moriendi*—sztukę umierania, kunszt pięknej śmierci, niby owoc zerwany z drzewa życia, ubiegłego w znojach serdecznych i doświadczeniach bolesnych; w *Bene nati*—obrazek z bytu rodzajowego tej warstwy ludzi, która, nie wolna od przywar, chwytą za serce swoją niewysłownie miłą swojskością, a przez panującą swą namiętność pychy herbowej, raczej dobrośliwy uśmiech, niż oburzenie lub wstręt na usta wywołuje.

Westalka ma tylko postać, formę istnienia, społeczne środowisko rzymskie; dusza jej jest już duszą nowoczesnego człowieka—człowieka, mówię, nie kobiety. Jej ogólne *człowieczeństwo*, w najwyższym duchowym zakresie uragające różnicę płci, a nie jej *kobiecość*, jako taka, jest ogniskiem tej światłości, która z duszy *Westalki* wybucha gorzkimi prawdami rozumu i dotkliwszą od nich, głębiej dojmującą prawdą indywidualnego serca, że świat nie wart jest życia, a życie—cierpienia. Dla mnie ta nuta pesymizmu, taka właśnie, jak w *W. stalce*, jest czemś nowym u Orzeszkowej. Po przebyciu tak długiej już, wśród rozumnego, a zawsze dodatniego myślenia i tworzenia, wśród zajmujących widoków społecznych i filozoficzno-społecznych, prowadzącej drogi—zjawia się dziś, jakby rozpacz nad światem. Przez usta Kornelii Orzeszkowej przemawia ona sama.

Wysłowienie tego smutku z istnienia, z wszech istnienia, za pośrednictwem *Westalki* stanowi zamysł twórczy autorki. Nie chodziło jej wcale o świat rzymski i *westalkę* rzymską, o przygodę, która się w Rzymie wydarzyła: chodziło jej o własne jej myśli i uczucia przedmiotowe, które w ja-

kiejs osobnej komorze duszy mimo jej wiedzy gromadziło zwolna życie i myślenie, dostrzeganie i odczuwanie zjawisk—a gromadziło na to, aby je talent, z czasem już świadomie mógł w pewną syntezę poetyczną ująć i w prawdziwie pięknej, wspaniałej, szlachetnej prozie lirycznej przedstawić. Forma *Westalki* jest artystycznie za szczupłą i za wątłą na myśli Kornelii, na jej czyn, z mroków smutku i niewiary wybuchający tak uroczo, tak orzeźwiająco, z taką ciszą świętości i spokojem zapomnienia o sobie. Tworzywa jest tu tyle, że poeta nowoczesny mógł i w nowoczesnej też formie dać dramat lub poemat, wierszem czy prozą—bo nie wiersze stanowią poetę—o dużych rozmiarach i szerokim zarysie filozoficznym i społecznym. Orzeszkowa sięgnęła po formę do Starożytności, czystą duszę kobiety—człowieka wcieliła w typ czystości starożytnej, w kapłankę wiecznego ognia, i w nią tylko, w jej treść duchową zapatrzoną, cały ruch zewnętrzny naokoło niej sprowadziła do elementów najprostszych, najmniej dramatycznego i rozumowego zawikłania stawiających przed umysłem czytelnika. *Westalka* jej sprawia wrażenie posagu w kształtach i układzie antycznym. Przypina się do słabości, że dla mnie ta forma była zawsze dziwnie pociągającą.

Westalka Orzeszkowej jest Kornelia Sabina, z rodu konsularnego, za Domicyana żywcem zakopana w ziemię. Krąży o niej podanie, że okrutnik, którego ciało z rozkazu senatu na Gemonie zaciągnięto a imię wymazano z pamięci Rzymu, poznałszy już wszystkie rozkosze ziemi, zaprzagnął jeszcze jednej: zakopania *Westalki* na Placu Łotrów, i nadszedł podstępnie nikiemników, którzy dziewicę bogom poświęconą do zguby przywieśli. W obrazie Orzeszkowej inna występuje wersja: Kornelia umiera niewinna, poświęcając się za winną rzecz—wście koleżankę swoje Helia, dziewczętko, które w dzieciństwie igrało z Juniuszem Arulenem w gry ucieszne, a teraz, wybawiwszy go, przez samo zjawienie się swoje, od śmierci, zabawia się z nim w miłość,—w miłość i śmierć zarazem. Mamka jej niegdyś, Gigea, przekupiona przez Juniusza, namawiała ją do zobaczenia się z ocalonym dawnym towarzyszem lat dziecińczych. Nieszczęsne dziecko ulega namowie. Tejsamej nocy, w której straż nad ogniem świętym jej właśnie powierzono, w ogrodzie, przy atrium Westy widzą się i chodzą, rozmawiają i—rozkwitują wzajem dla siebie. Podpatrują ich nocni opoje, patrycyusze i urzędnicy Rzymu, i oni-to, dbając o cześć Westy, cnotę niewiast i nietykalność instytucji ojczystych, dają znać zwierzchności, jaka się ohydna stała zbrodnia. O wschodzie słońca *pontifex maximus* wraz z prefektem Rzymu, w towarzystwie liktorów i oskarżycieli, wkracza do nietykalnego przybytku. Helii niema; ale winna znaleźć się musi. Kornelia, domyślając się tylko winy niepodscenyca ognia, drży o Helia, która ją urokiem młodości swojej podbiła, przypuszcza ukrycie się jej gdzieś w obszernej posiadłości Westalek, a gdy później poznaje straszną prawdę, bierze na siebie winę dziewczęcia, idzie na plac stracenia i ginie. Tymczasem Helia z Juniuszem muszą już być daleko od Rzymu: miłość dla człowieka przemogła cześć dla bóstwa. Ostatnie słowo zostaje przy kobiecym Kalibanie, Gigei, przedstawicielce—świata.

Tak tedy ta gorycz, smutek, rozpacz niemal nad światem, nad koniecznością istnienia w złym i marnym, bo lepszego i cięższego bogowie człowiekowi nie dali, kończy się czynem najwyższego bohaterstwa, najświętszej miłości, bo „zaprawdę, nie ma miłości większej nad tę, jak kiedy kto duszę swą odda za przyjaciół swoje.” Do głębi wzrusza ta śmierć człowieka dla człowieka, śmierć czysta, bezinteresowna, nie kupiona z góry, nie zapłacona niczem, żadną rozkoszą, żadną radością i nadzieją—żadnym wspólnie doznany uśmiechem losu. W utworze Orzeszkowej związek pomiędzy obu ogniwami, początku i końca, jest więcej dyalektycznym, aniżeli psychologizmem, jakim byłby mógł i musiał, gdyby ta gotowość do poświęcenia się dla Helii, z taką mistrzowską prawdziwie prostotą okazana, miała większe, silniejsze, głębiej w duszę Kornelii wrastające upowodoowanie. Takiej gotowości, takiej sztuki umierania, nie dowiedzie nikt, kto pod najgrubszymi nawet pokładami zniechęcenia do świata i człowieka nie

przechował w sobie zdolności miłowania tego, co żywe w świecie i w człowieku. Takiej właśnie zdolności Kornelia nie objawia w stosunku swoim do Helii, nie zaznacza jej nawet w samej sobie,—dla nas, którzy ją poznać i na jej proces psychologiczny patrzeć pragniemy—a wręcz już przytłumia ją i z ciemnej pieczary pesymizmu swego wyjść jej nie pozwala—w słowach piołunowej mądrości, straszliwie chłoszczących wszystkie porywy, i nadzieje młodości i całą potrzebę i głód życia, z jakim dusza młoda rwie się w świat i rwała się zawsze i wszędzie, i rwać się będzie—póki młodości, póki ziemi i powietrza i słońca.

Z tej chłosty, jaką idealizm już ugoszczony przez życie wymierza idealizmowi dopiero przez życie zapraszane na biesiadę, ścisła logika psychologiczna usuwa jedną plagę, jedno cięcie: to właśnie, w którym gorzki smutek nad życiem dochodzi do kulminacyjnego swego punktu: „Głupotą jest składać siebie w ofierze niczemu—zarówno człowiekowi, który dla świata nie nie może, jak światu, który jest katem dla człowieka.” Dla Kornelii nie było to *głupotą*; było tylko nieszczęściem, przekleństwem bytu, boleścią, że gdy nie można kochać ludzi i cenić samego istnienia, nie warto też jest, ani żyć, ani poświęcać się, a tem mniej umierać dla czegokolwiek w świecie. W stosunku jednak do własnego swego losu Kornelia stawia tu świetną antytezę, najzupełniej zgodną z prawami wrażliwości ludzkiej. Ona, co się poświęciła za istotę, której nawet, jako pewnego indywiduum z całości natury i społeczeństwa wydzielonego, kochać nie może, bo tylko matkę jejniegdyś kochała, pierwsza zada kłam zasadzie że głupotą jest składać siebie w ofierze światu i człowiekowi. Ale właśnie, aby to wspaniałe kłamstwo mogło z całą bujnością swoją wystąpić, owa antyteza falująca najwyższym już gniewem powierzchwni i tającą w sobie nie zmożoną dobroć głębin, powinna być jaknajbardziej przeprowadzoną.

Ostatnie słowa Kornelii zagłuszają cały szum i łoskot i huk wzburzonych fal jej duszy. Słyszymy w nich słodką harmonią ducha pogodzonego z samym sobą. „Jeżeli kiedy zobaczysz — mówi do Adryi, przyklekłej po błogosławieństwie Wielkiej *Westalki*—Helii i Juniusza, powiedz im, że w bramy Hadesu wstąpię stokroć szczęśliwsza, niż żyłam na ziemi!” Tak odejść może tylko duch piękny, a jeżeli tak odchodzi dusza ironią i bólem przejęta, bądźmy pewni, że nas opuszcza człowiek, który dał światu więcej, niż dostał, który naturę swą uczcił i uszlachetnił, na wysokości rozumu podniósł, młotami woli przekuł w formy rozumnego, uczuciowo-moralnego istnienia — i nietylko śmiercią, ale i życiem wysłużył sobie dobrą u potomności pamięć. Chętnie mu też przebaczymy wszystko, czem gorszył maluczkę, zwłaszcza, jeśli, ostudziwszy ich zapal do życia, odwoził ich tylko od indywidualnego używania jego darów, — jeżeli zniechęcał do tego zawodu młodości, którego najwyższym wyrazem będzie zawsze tylko rzecz drobna dla społeczeństwa, dla świata, pył marny: osobiste szczęście człowieka! Ale piołuny, same piołuny, daje młodym towarzyszkom i podwładnym swoim ta majestatyczna, posagowa Kornelia.

„Masz naturę człowieka—mówi do Adryi—nie, tylko powszechną naturę człowieka, w którym lada jaka bojaźń lub żądza igra z miłością, jak wiatr z wiotką mgłą. Mówiąc: „kocham” — niekiedy siebie a zawsze innych oszukujesz.” „Zadawanie boleści, sprawianie radości oddawna bawić mię przestało.” „Ani jeden dzień—mówi znowu sama do siebie — nie przemienie dla ust człowieka bez kłamstwa albo pustego dźwięku.” „Wonne dymy wzbijają się nietylko przed ołtarzami bogów. Wdzięczne ich girlandy krążą także dokoła głów skapanych w ohydny pocie orgii!” „Płatek śniegu dopóty jest doskonale czystym, dopóki nie dotknie ziemi; serce człowieka dopóty wierzy i czci, dopóki umysł jego ślepy.” „A dalej tak się wywnętrza: „Wszystko mi obojętne; ognia, którym płonęłam, żyje tylko jedna drobna iskra: przyjaźń dla Helii. Drobna iskro, dlaczego przeżyłaś inne? Może dlatego, że dziewczę to jest pogodną jutrzanką, na którą czasem lubi spoglądać moje nocą zmroczone oko... Może dlatego, że jest mi ona żywą pamiątką czasu, w którym mniemałam,

że w niebie mieszkają bogowie, na ziemi ludzie czyści i dobrzy, a w duszy ludzkiej miłość, litość i odwaga."

Czas ten ożył znowu — w śmierci. Ostatnie słowa umierającej zacierają wszystko, co wygłosiła niewiara. Pessimizm Kornelii — to tylko klęska serca i umysłu w walce ze światem; to idealizm jej pobity, ale nie zmiażdżony — nieszcześliwy, ale nie wypierający się samego siebie; to nielichy gniew, iż się samemu nie było dość szczęśliwym, ale trzeźwość, jaką daje rozbić się — ból, jakim przejmują zawiązane miłości. Tylko niedoleżtwa umysłowe może na takich, pessimistów, jak Kornelia rzucić kamieniem. Pessimizm takiej Kornelii to dla człowieka starszego nieuchronny częstokroć moment w przejściu jego przez życie. Zamiast przeczyć idealizmowi, przeciwnie pessimizm rzetelny — samą niewiarą, którą szerzy w człowieka i jego naturę, stwierdza wiarę w ideały, które więcej od człowieka znaczą i dłużej od niego trwają, przechodząc z pokolenia na pokolenie, dzięki zastępowi duchów wyższych, stanowiących istotną arystokracją Ludzkości.

(Dokończenie nastąpi).

NAD NIAGARĄ

(z notatek turysty).

Jesteś pani muzykalna i znasz nutka po nutce uwerturę z „Fletu zaczarowanego“. Słyszałaś ją wykonywaną dziesięć lub więcej razy w teatrze; słyszałaś graną na fortepianie na dwie i cztery ręce i jesteś nią zachwycona. Spróbuj — że pani teraz określić słowami przyjaciółce, ten utwór cudowny, o którym ona niema najmniejszego wyobrażenia, a który równego sobie wartością w całej muzyce nie posiada.

Zgaduję słowa pani! Oto jest introdukcja — powiadasz: — Dwanaście taktów, tak pysznie tonami wyrzeźbionych, jak posąg Jowisza Olimpijskiego dłutem Fidyasa. Wszystko, co tylko tkwi w uroczystej wspaniałości egipskich świątyń i starożytnej Hellady; wszystko to pełnym czarom dźwiękiem rozbrzmiewa w tych dwunastu taktach.

Następuje fuga! Milion elfów płynie w powietrzu czystem jak ła — buja rozkosznie wśród łąk zasianych różnobarwnym wiosennym kwieciem, po nad strumieniem tryskających kryształów; wszystko kapie się w migocącym blasku i drżącej ciszy cienia. Jest to najśodsze technicznie życia, tonami wypowiedziane — niebiańskie upojenie przelane w akordy — błoga rozkosz rytmicznego ukołysania.

Jeden tylko jeszcze z mistrzów, oprócz Mozarta, zdołał ten szczytny tryumf życia owiać wonią róż i blaskiem słońca. Był nim Flamandczyk Rubens, gdy malował bachanalie, lub też rój skowronków o rumianych i pyzatyh dziecinnych twarzyczkach, albo cały zastęp świetlanych aniołów, unoszących do nieba Jego królową — niepokalaną i najczystsza dziewicę.

Opisanie świetnego zjawiska — ujęcie w myśl i żywe słowo jego źródła, granic, miary jego, jakby rytmy, jest niesłychanie trudnym zadaniem — niemal sztuką.

Uwertura z „Fletu zaczarowanego“, — to arcydzieło przypadkowego natchnienia, wysnute bezwiednie z wyobraźni artysty, który w swoim czasie zajmował stanowisko kapelmistrza w Salzburgu, a był prorokiem muzyki, zesłanym od Boga.

Dosięgnął on duchem strefy niebieskiej i z poza tych wspaniałych wrót, swobodnie przed nim roztwierających się, podpatrzył igraszki aniołów i podśluchał ich pienia. Tak powstało owe dwanaście taktów i fuga. Któż jest w stanie, coś tak cudownego opisać — lub choćby tylko objaśnić?

Równie trudno jest dać choćby cień pojęcia o cudzie natury — na jaki patrzę o sto kroków od mojego hotelu. Cud ten, żyje wiecznie nowem życiem — wre, grzmi, huczy, szaleje!

Usiłowałem wczoraj przez cały dzień uchwycić uchem i pamięcią tę olbrzymią symfonią natury; wsłuchiwałem się w nią przy świetle słońca i blasku księżyca, już-to od strony amerykańskiej lub kanadyjskiej — już-to z Wyspy Koziej i z Parku Wiktorya, ażeby nareszcie zanucić sobie choć jedną z tych wiecznie brzmiących melodyi. Wszystko na próżno!

Ach! gdyby jedzenie w „Spencer House“ było trochę lepsze i pożywniejsze, może-by myśl posłuszniejszą była — może-by zdołał opanować pióro i mniej więcej opisać znośnie to, na co patrzę. Ale kuchnia w „Spencer House“ to istna parodia. Skapstwo przybrane w oszczędność! Szyderska ta igraszka przesładuje mnie, przeszkadza w skupieniu ducha, nawet wobec tej twórczej olbrzymiej natury.

Ala skupienie ducha — na co się zda — wobec zadania, o które rozbił się taki nawet wielki talent — jak Karol Dickens? Spróbuję jednak...

Potężny — jak kryształ przezroczysty strumień Niagary toczy się łagodnie w dół. O trzy mile angielskie powyżej spadku, nagle skręca — i wspaniały ów wąż wodny, podobny do Renu, wpada nagle w gwałtowny wir, niszczy wszystko, co mu się nasunie. Olbrzymowi zbrakło tego, czem się toczył — łożyska. Cała masa wód w gwałtownym pędzie rozbija się fala za falą — wał żywy spieniony z białą grzywą — przypominającą tak piękny a prawdziwy obraz greckiego Neptuna — leci ku ciasnemu wąwozowi, gdzie w końcu przepada w zabójczym skoku w przepaść. Istny obraz szeregów Xerksa, rzucających się z wściekłością na Termopile.

Kozia wyspa (*Goats Island*) inaczej zwana „Irys“ z powodu odbijających się na niej bez przerwy barw tęczy, stawia opór pędzącemu potokowi, i tu właśnie rozdzielają się potężne fale Niagary. Większa ich część kieruje się na lewo od wyspy ku *Horse shoe* — trzewikowi konia — podkowie. Ażeby wyobrazić sobie układ przestrzeniowy zjawiska potrzeba sobie wywołać w pamięci, wspieranej wyobraźnią widok starożytnej bazyliki: mury boczne stanowią wąwóz Niagary, apsyda — zaokrąglone presbiterium jest owo „Horse shoe“. Tym sposobem można sobie najlepiej przedstawić ów wąwóz łączący się z zamkniętą skalistą ścianą. Ściana ta, z powodu swej wypukłości w kształcie podkowy, nadała nazwę kanadyjskiej części wodospadu.

Po tej-to skalistej ścianie, do połowy elipsy utworzonej przez podkowę, stacza się z gwałtownym impetem, niezmierną ilość wód barwy zielonej, gdy tymczasem z lewej i z prawej strony podkowy spadają one po ścianach skał prostopadłych ponieważ zaś potok, nie toczy się po stronie spadzistości, lecz wybucha pojedynczo grubymi strumieniami ponad szczytem skalistej ściany i raptownie rzuca się w wąwóz, sprawia to wrażenie świetlanej zasłony, utworzonej z wysokiej kolumnady falującego srebra.

Niesłychana siła, z jaką potok pędzi ze szczytu ściany nie staczając się z jej brzegów, ale przepływając burzliwie ostre załamy wierzchołka, powoduje łamanie się promieni wód w pyszne łukowate linie i gwałtowne potem rzucenie się w przepaść.

Mniejsza część potoku ciśnie się ku wąwozowi, powstając Kozia Wyspę na lewo; podczas gdy główna masa wód, jak wyżej wzmiankowano, po apsydzie bazyliki, spada ukośnie; mniejsza część pędzi z łoskotem na lewo, po sterczącej wysoko prostej ścianie skały. Wzmiankuje, że opisując ten krajobraz, stoję zwrócony twarzą ku wypukłości absydy. W głębi wąwozu czyli na fundamencie bazyliki, płyną spokojnie obiedwie złączone już odnogi Niagary, w jednym ciemno-zielonym potoku.

Wodospad amerykański, obok wodospadu „podkowy“, wydaje się miniaturą igraszki — jak, nie przymierzając, Spohr obok Mozarta. Bez zaprzeczenia zyskałby miano potężnego wodospadu, gdyby można usunąć sąsiada. Pomimo równie czarodziejskiej srebrzystej kolumnady, wodospad amerykański, niby blaszka metalowa podłożona pod cenny kamień, służy tylko do uwydatnienia przez porównanie, wspaniałości wodospadu „Pod-

kowy“ i do rozprzestrzenienia panoramy, tego olbrzymiego widoku natury.

Wyspa Kozia jest uroczą miejscowością strojną w las, trawy i kwiecista łąki. Przed kilku jeszcze laty należała do pewnej amerykańskiej rodziny, która za utrzymania w porządku mostka, prowadzącego przez wąską odnogę rzeki do wodospadu, pobierała od zwiedzających znaczną opłatę. Rząd w Washingtonie, uwolnił tę piękną naturę od obciążającej ją hypoteki, zapłaciwszy wzmiankowanej rodzinie, przeszło milion dolarów. Z mostu korzystać teraz można, nie nie płacąc. Dochodzi się znów do wodospadu amerykańskiego, który pędzi jak strzała. Przejście przez las ułatwiają wygodne szerokie drogi i ścieżki; zgrabne i dobrze utrzymane schodki, prowadzą po brzegach do obydwoj wodospadów. Na około otwierają się ponętne widoki. Wędrowcy patrzą na wznoszące się, piętrzące, hukiem i pianą — gniew swój objawiające fale. Krajobraz zmienia się w mgnieniu oka. Piękność jego wzmacnia się od uroku kontrastów. Niewysłowione uczucie piękna przestrzeniowego przejmujące umysł na widok odwiecznych ponurych skał i obok nich zaraz strzelających wesoło w górę drzew bujnych. — A wszystko — kępie się w światłości jasno i ciemno-zielonej barwy.

Starzy nasi znajomi Ruysdael i Everdingen (*) byliby tu jak w domu.

Wody obu potoków tak małego amerykańskiego jak i wielkiego kanadyjskiego, stoczywszy się burzliwie w głębi wąwozu, spokojnie płyną dalej. Ściany wąwozu mają mniej więcej wysokości brzegów Sorrento, co może również dać wyobrażenie o wysokości wodospadów. Patrząc w głębi wąwozu z wysokości mostu łańcuchowego, zbudowanego na wprost wodospadów, widzi się wyraźnie znaczną głęboką, ścieśniającą bieg potoku, który, jak powiedziałem, płynie wolno dalej, jakby znudzony tem gwałtownym runięciem w przepaść. Odważny młodzieniec mógłby tu, bez niebezpieczeństwa przepłynąć rzekę z jednego brzegu na drugi; ale, tak jak kula armatnia, tocząca się z wolna, gdy się jej dotkniesz nabiera nowej sprężystości, tak i wody Niagary, przepłynąwszy spokojnie małą przestrzeń i napotkawszy przeszkodę, powracają nagle do swej dzikości szalonej. Wąwóz skręca się i zwęża raptownie. Zuchwały strumień nie poddaje się jednak — toczy swe nurty dalej — bałwani się, piętrzy, pieni, ryce! Wobec tego chaosu wściekłość dumnego Lear'a, smaganego na puszczy nawałnicą — jest tylko łagodną kołysanką.

W tem-to miejscu gwałtowny pęd wód tworzy wir „Lower rapids“, gdzie przed kilku laty utonął sławny pływak Weble. Wskoczył on w rzekę z czoła i spokojnie dopłynął do mostu; tuż przy „kotle czarownic“ gdzie wąwóz skręca się, wypłynął raz jeszcze na powierzchnię wody, po czem znikł na zawsze. Martwe jego ciało wydobyto po jakimś czasie z głębiny.

Cheąc nabyć wyobrażenia o burzliwości fal w tem miejscu, kazałem się spuścić na linie drucianej do wąwozu. Nadmieniam, że uważam się za powagę w sztuce pływania, ponieważ w trzech już wypadkach walcząc z żywiołem, o mało, że nie utonąłem.

Gdy zatrzymałem się w tej piekielnej jaskini rozszalałych fal, rozejrzawszy się dokoła pomimo woli wykrzyknąłem: „Bądź zdrów, przyjacielu“.

Żadne pióro a przynajmniej moje nie zdoła dać wyobrażenia o wściekłości fal, które pnąc się ciągle w górę, wzajemnie się jakby podsadzając — dosięgają trzydziestu stóp wysokości.

Przypuszczam, że w miejscu na które przypada ten raptowny załom, skaliste łożysko musi się nagle pochyłać a nadto dno jest zapewne strasznie poszarpane, przepełnione wądołami i zawalone głazami powykruszanymi ze skał.

Widziałem wyraźnie dwie warstwy wód w gwałtownym pędzie jedna ponad drugą. Dolny prąd jak strzała rzuca się w głęboką, górny zaś w odwrotnym kierunku odpięra pęd dolnego.

(*) Malarz holenderscy, współczesny Raphaelowi. Zob. o nim w *M. Szt. Europ.* T. III, str.

Główny strumień rozbija się o ukryte rafy, które odciągają go i wypierają napowrót.

Ta zacięta walka dwóch prądów ma w sobie coś tak przerażającego, że podług mnie nawet słoń zdecydowany samobójstwem życie zakończyć nie znalazłby w tym celu odpowiedniejszej miejscowości nad wir „Lower rapids“ (Niższe prądy — niższy wodospad).

Po tej powtórnej walce zielony strumień uspakaja się i płynie wolno ku wielkiej kotlinie. Tu nowy, również zajmujący widok przedstawia „whirl pool“ (wir kolisty), który z wysokości brzegów wyraźnie dostrzegać się daje. Jest to także punkt bardzo zdradliwy. Szmaragdowe wody wirują w kształcie lejków, tworząc zamęt niebezpieczny dla najśmielszego nawet, najsilniejszego i najbardziej doświadczonego pływaka.

Dzisiejsza moda wszelkie uczucia i wrażenia poddaje sekcji anatomicznej. W tym celu mógłby, który z panów filozofów zamieszkać przez tydzień w „Spencer Honse“ i o głodzie — jedynie o kawie i herbacie „tea or coffee“ studiować wrażenia, wywołane widokiem tej przepysznej panoramy — wodospadów Niagary.

Mówiąc szczerze, panorama ta nie ukołyszę wdziękiem i słodyczą natury — ale przerazi jej potęgą.

Katarakta Niagary, w stosunku do innych, jest, jak kościół Ś-go Piotra do wszystkich innych kościołów — jak Goliat do Dawida.

Niesłychany także podziw wzbudza ogrom spadających wód około „Horse shoe“; ma on podobno 28 stóp grubości i przepysznie jest zabarwiony wszystkimi odcieniami od szmaragdu aż do srebrzystego odbłyску. Dodajmy do tych wrażeń, owe przejmujące nawskroś dreszcze, które poeta tak wysoko ceni — krok dalej — a fale pochwycają cię w swe ramiona i zagłębiają w przepaść!..

Stoisz jednak spokojny, bezpieczny — fale pienią się na trzy cale odległości od twojej stopy i nie wyrządzą najmniejszej krzywdy, podczas, gdy obejmujesz wzrokiem szumiącą kotlinę.

Pomimo to drżysz — drżysz, jakgdybyś stał obok króla puszczy, oddzielony od jego grozy, delikatni choć mocnymi prętami.

Wspaniale piękna jest łukowata linia spadających wód. „Tempo“ zaś spadku wywiera wrażenie wzniesłego „Largo“ w przeciwstawieniu do dyabelskiego „presto“ w przepaściowości wąwozu.

Białe, ciężkie obłoki pary wznoszą się swobodnie w górę i płyną promieniste ponad przepaścią wśród irysowych łuków skały. Czyżby Stwórca tak udatne dzieło pomocnicy swej przyrody chciał opasać wstęgą tęczową, niby znakiem zaszczytnym?

Pozwólcie mi jednak pożegnać już tę odwieczną lawinę kryształową — ten potok lewy szmaragdowej. Pośród wspaniały natury — tęskno mi do duchowego pokarmu. Drobną allegorią ręką mistrza skreślona jest mi droższą nad wszystkie Niagary — nad wszystkie szczyty Moutblanc'u.

Usiądź pani do fortepianu i zagraj mi „Morze“ Schuberta. W tej świetnej melodii tkwi więcej ponęt Homerowej Syreny, aniżeli we wszystkich słonych wodach na świecie — tak jak w drugim finale „Don Juana“ tak prostym, tak niemowlęco prostym, z gam tylko samych złożonym, więcej wre piekła, aniżeli w *ad hoc* piekielnym stylu pisanych utworach późniejszych.

Prawdziwe cuda — tworzy tylko sztuka.

Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Wilna, że we wszystkich miastach powiatowych tamtej okolicy odbyły się narady lekarzy oraz urzędów miejskich w sprawie środków zaradczych przeciwko cholercie. Potworzone komitety sanitarne zajęły się sprawą porządku w miastach i okolicy; okazuje się przecież wielki brak lekarzy, jest ich bowiem w powiatach zaledwie po kilku, a powiaty te mają przeszło po sto mil kwadratowych.

— Po śmierci ś. p. hr. Józefa Tyszkiewicza, który był założycielem i zarazem kuratorem honorowym progymnazjum w Połędze, objął urząd ten syn jego, hr. Antoni Tyszkiewicz, filantrop wstępujący w ślady ojca, który znał z nazwiska i imienia wszystkich uczniów tej szkoły, liczącej ich stu kilkudziesięciu. W pierwszą rocznicę jego śmierci na nabożeństwie żałobnym w Kretyndzie, gdzie spoczywają jego zwłoki, uczniowie wspomnianego progymnazjum towarzyszyli organom chórem przez mszę całą, której w części wyuczyli się sami. Hr. Antoni Tyszkiewicz wstępuje w ślady dobroczynności ojca; od lat kilku kształcił kosztem swoim w Wilnie i Połędze przeszło dwudziestu synów ubogich rodzin.

— Zapis nowych uczniów warszawskiej szkoły rysunkowej rozpocznie się z d. 13 Września, nauka d. 21 Września.

— Próby koncertów z Galicji mających się odbyć na wystawie wiedeńskiej, odbywały się we Lwowie od d. 22-go Sierpnia do 1-go Września. Przybył tam na próbę ostatnią Moszkowski z Wrocławia.

— Wystawa przemysłu budowlanego, otwarta d. 29 Sierpnia we Lwowie, przedstawia się bardzo dobrze i ściągą znaczną liczbę zwiedzających. W pierwszym dniu wystawy przy cenie wejścia 1 zł: ren., było zwiedzających osób 100, gdy dzień następny z opłatą wejścia 20 centów przyniósł więcej, niżeli 300 zł: ren. Wskazówka to pouczająca nie tylko dla zebrań publicznych we Lwowie. Wystawa mieści się w gmachu politechniki i otaczającym ją ogrodzie. Wystawców jest przeszło 300, w tej liczbie z Krakowa tylko 20. Prowincya da 65, Czerniowce 30, zagranica 80. Do rzędu okazów bardziej zajmujących należy barak wojskowy z falistej blachy, który można nakryć ziemią.

— Wystawa powszechna „Kolumba“ w Chicago zwraca na siebie wszechświatowe zajęcie. Wystawcy warszawscy zamierzają urządzić w Warszawie wystawę przedwstępną z przedmiotów, przeznaczonych na tę wystawę, którą nazwać można turniejem międzynarodowym sztuki przemysłu — cywilizacji nowoczesnej. Dział pamiątek po Kolumbie już jest w porządku: rząd amerykański przeznaczył na jego koszt 25.000 dolarów, zwrócono się też do rządów Hiszpanii, Włoch, Francji i Niemiec, do rady miejskiej Genui, do Papieża, oraz księcia Vorague, potomka Kolumba z linii bocznej, o dostarczenie map, książek i w ogóle wszelkich przedmiotów mających związek z życiem i dziejami Kolumba, z odkryciem i osiedleniem Ameryki. Rząd hiszpański może tu dostarczyć oryginału umowy, mocą której przekazał Kolumbowi i jego spadkobiercom wieczyste posiadanie ósmej części krain, jakie odkrył. W archiwach rodziny Vorague znajdują się oryginały rękopism, odnoszących się do wypraw wielkiego podróżnika, 29 jego listów, oraz rękopismo rozprawy, gdzie dowodzi, że w Piśmie Świętem znajduje się przepowiednia jego misji. Jest tam jeszcze jego odezwa do

Genui, pierwsza mapa Ameryki, dzieło Juana la Cosa jednego z gospodarzy wyprawy, listy Kolumba o odkryciach i wiele innych cennych dokumentów, odnoszących się do jego wielkiego czynu. Rząd włoski urządzi też bardzo wspaniały obchód uroczystości na cześć nieśmiertelnego syna Włoch. Floty wszystkich mocarstw europejskich oraz Ameryki zgromadzą się pod Genuą, a król Humbert odbędzie ich przegląd na pokładzie pancernika „Italia.“ Ogółem staną w porcie Genui 63 okręty wojenne, europejskie i amerykańskie, nawet i japoński; oprócz dwóch pancerników Stanów Zjednoczonych znajdować się będzie okręt meksykański i argentyński.

— Pierwszym dziełem, jakie w języku naszym dało czytelnikowi wiadomość o wyprawie i odkryciach Kolumba, jest *Kronika* Marcina Bielskiego, wydana w Krakowie w 1551 roku. W wydaniu tem pierwszym znajduje się historia świata starożytna i nowożytna ze wzmianką bardzo niewielką o Kolumbie. Ale wydanie jej drugie, w 1564 r., znacznie powiększone i ozdobione licznymi drzeworytami, mieści już bardzo obszerny, przypuszczalnie ze źródeł włoskich czerpany, opis życia Kolumba i jego wypraw.

— Napoleon Ney, prezes francuskiego Towarzystwa Geografii Handlowej, ogłosił drukiem ciekawe szczegóły dotyczące stosunku Europy i Ameryki przed Kolumbem. Żeglarze europejscy przed Kolumbem jeszcze znali istnienie Ameryki, jak tego dowodzą starożytne sagi islandzkie i zabytki archeologiczne znajdujące się, tak w Norwegii, Danii, Islandyi, Grenlandyi, jak i w Ameryce. Normandowie już przed 1.000 r. ery naszej dostawali się na wybrzeże dzisiejszego stanu Massachusetts, a nawet na Florydę. Normandowie też zakładali kolonie, tworzyli faktorie na całym wybrzeżu Zachodniej Grenlandyi. Statki ich docierały do Brazylii, ale warunki klimatyczne, trudne do zniesienia dla synów Północy. Francuzki marynarz z Dieppe odnalazł na wybrzeżu Ameryki Południowej ruiny budynku, wzniesionego, jak mniema, przez marynarzy skandynawskich. Dokumenta odnoszące się do wyprawy i odkryć owego Francuza, a złożone w archiwum miejskim Dieppe, spaliły się w 1694 r. ale w Washingtonie w „Smithsonian Institute“ znajduje się wielki zbiór dokumentów, odnoszących się do stosunków Europy z Ameryką przed wyładowaniem tam Kolumba. Ney widział pod Bostonem grobowiec murowany, odkryty sto lat temu, w którym spoczywający szkielet ludzki należał niewątpliwie do człowieka rasy białej. Obok kościotrupa leżała żelazna rękojeść miecza.

— Zjazd historyków odbędzie się w Monachium d. 27, 28 i 29 Września. Programat kwestyi, które będą tu rozbiegane, jest: 1) O ile nauka historii przygotowuje do zadań, które życie publiczne przedstawia każdemu wykształconemu człowiekowi? 2) Jak wobec tego powinno się wykladać historię? 3) Jak należy organizować i prowadzić seminaria historyczne na uniwersytetach?

— Na międzynarodowym kongresie Towar. Wstrzemięźliwości odbytym w Genewie, zebrała się tak znaczna liczba delegatów z Anglii, Francji, Belgii i Hollandyi, Niemiec, Austro-Węgier, że liczba ich doszła do tysiąca.

Do dzisiejszego numeru „Bluszezu“ dołącza się: Arkusz 4 tomu II-go powieści pod tytułem **Złudzenie i rzeczywistość**, przez Beatrycę Whitby. Przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Pogawędka, przez Quisa. — Z etyki starożytnej (dokończenie). — Tomcio i Romcio, humoreska przez Esteję (dalszy ciąg). — Przegląd piśmienniczy, Dwa najnowsze utwory Orzeszkowej. — Nad Niagarą. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 4-ty tomu II-go powieści pod tytułem **Złudzenie i rzeczywistość** przez Beatrycę Whitby. Przekład z angielskiego. Przegląd mód. 28 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr. 66.

Дозволено Цензурою. — Рашава, 26 Астрыта 1892 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.



Nr 1. Suknia ozdobiona haftem w guście wschodnim.

wany „Chantilla“ i przewiązany w pasie szarfą „crêpe de Chine.“ Drugi żałobny model z kreponu czarnego jedwabnego, podobnego do krepy angielskiej. Spódnica bardzo obcisła, ogarniowana w dole węzłami z wstążki czarnej atlasowej, ułożonemi w festony. Stanik formy gabryeli opięty zupełnie na ramionach, na to duży kołnier z cienkiego batystu prawie przezroczysty, zakończony starą gipiurą, wyciętą w długie zęby; rękawy bufiaste do łokcia, przy długich jedwabnych lub z kozłowej skórki rękawieczkach. Każdą suknię żałobną bardzo zdobią figury z haftu naszywane, długie szelki z haftu lub wreszcie małe krótki kaftanik „Figaro.“ Można z takiego haftu zrobić na formie z papieru ażurowy kaftanik i nosić go od razu na sukni bez żadnego wykończenia, jak to widzimy na rycinach podawanych w Bluszczu. Czarne morowe wstążki bardzo są noszone, jako ozdoba sukien. Jedną z najnowszych ozdób jest puścić od paska wstążkę morową Nr 16, trzema długimi końcami do samego dołu spódnicy, z jednym długim puklem, lub nawet bez żadnego. Wielkie eleganki paryżkie noszą spódniczki zastosowane do gorsetu, i tak gorset jak spódniczka — jedwabne w bukiety kolorowe, gorset ogarniowany riuszą z trzech wstążek atlasowych w kolorach bukietów, riusza taka tworzy niby girlandę z takich kwiatów, które w najsprzeczniejszych kolorach rzucane są na tło, na przykład fioletowe na niebieskim, brunatny na ponsonowym, bardzo mieszają w deseniach fioletowy, niebieski i zielony. W tej chwili najulubieńszym kolorem mody jest zielony kolor jasnego siana, barwa to wesola i elegancka. Kapelusze, które dotąd noszono małe z nastroszonym wysoko ubraniem tysiącami fantazyjnymi ozdobami powoli zmieniają kierunek, czyli wysokość, to jest z wysokich przechodzą na zupełnie niskie, jednak nie lekajcie się panie, jeszcze długo nosić będziemy wysokie i jeszcze nie jeden model wysoki podamy w rycinach



Nr 2. Suknia z atlasu „merveilleux“ ozdobiona wstążką.

Przegląd mód.

Kolor czarny i żałoba. — Spódniczki strojne, zastosowane do gorsetów. — Kolory. — Kapelusze niskie w przyszłości.

Kolor czarny tak bardzo dziś jest w użyciu, że mówiąc o żałobie, mówi się jednocześnie o najmodniejszym kolorze. I to nie tylko jedwabie czarne i fulary, ale i wełny są bardzo w modzie, hafty kolorowe matowe na czarnym tle, do garniowania zaś służą czarne gipiury, czarna mora i czarny dżet we wszystkich możliwych odmianach; powtarzamy czarny, bo są tacy, co uważają inne metalowe perełki za dżet złoty, srebrny, stalowy, a dżet może być tylko czarny. Gruba żałoba, przy której zamieniono białą taśmę na krepe jest zawsze jednakowa, z długim welonem otaczającym całą postać, z prostotą konturów. Widziałam w swej wycieczce za granicą model bardzo eleganckiej żałobnej tualety, suknię z koronki naszytej haftem czarnym; — na to idzie długi żakiet z jedwabiu wytłaczanego, sięgający do połowy spódnicy, otwarty, wygarni-



Nr 3. Suknia z materiału jedwabnego „broché“ ozdobiona koronką i dżetem.

Nr 4. Suknia z wigoni w kraty i aksamitu.

Nr 5. Suknia z długą baskiną.

naszych. Jest to wiadomość przedwczesna, z którą przyjdzie nam się rachować dopiero w przyszłym sezonie a kto wie, czy nawet nie w wiosennym.
L. C.

Suknia ozdobiona haftem w stylu bizantyjskim.

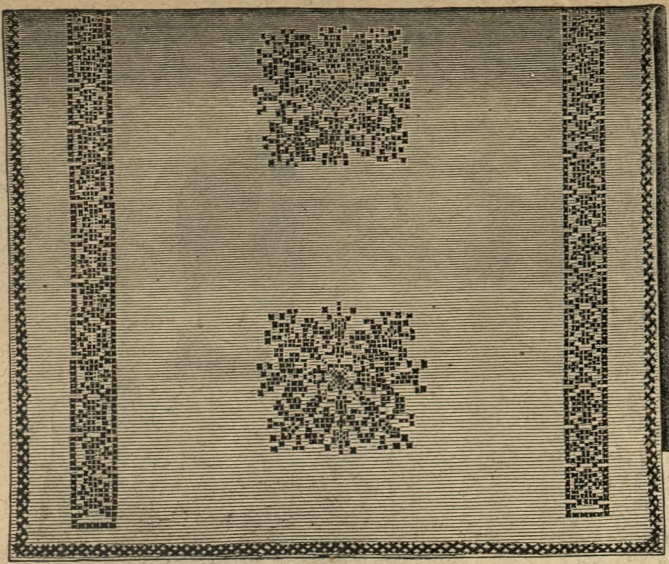
Rycina Nr 1.

Suknia z materiału jedwabnego koloru gołębiego, ozdobiona haftem wykonanym perłami i turkusami. Stanik zapinany z tyłu, wycięty kwadrato-wo. Rodzaj chusteczki z krepy białej fałdowanej. Rękawy bufiaste do łokcia, zakończone szeroką koronką.

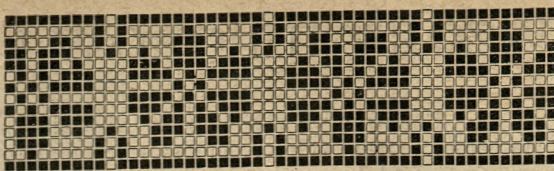
Suknia z atlasu „merveilleux“ ozdobiona wstążką.

Rycina Nr 2.

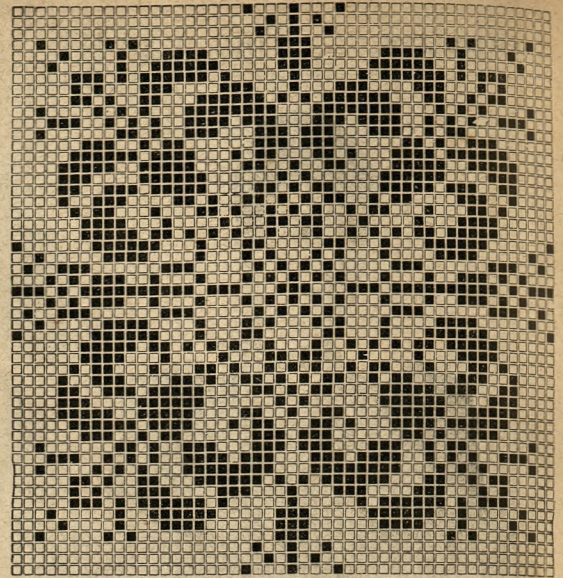
Suknia z atlasu koloru „mauve“, ozdobiona wstążką aksamitną w ciemniejszym tymże samym kolorze. Spódnica cała podszyta materiałem jedwabnym, dolna część ozdobiona dwoma falbankami. Stanik włożony pod spódnice zapinany z przodu, przybrany wstążką w rodzaju gorsecika. Rękawy podług ryc.



Nr 7. Kołderka dla dziecka ozdobiona haftem (do ryc. Nr 6 i 8).
Opis w Bl. Nr 35.



Nr 6. Deseń na serwetkę Nr 7 (robota krzyżowa).



Nr 8. Deseń do kołderki Nr 7 (robota krzyżowa).

Suknia z materiału jedwabnego „broché”.

Rycina Nr 3.

Suknia koloru zielonego mat w deseń czarny, ozdobiona koronką „crème,” oraz szlakiem wykonanym z blaszek dętowych i figurami z pasmanterii z dżetu. Spódnica cała podszyta jedwabnym materiałem. Rękawy podług ryc.

Suknia z „wigoni” w kraty i z aksamitu.

Rycina Nr 4.

Suknia z wigoni koloru piaskowego w kraty brązowe. Przednia część stanika i dolna rękawów z aksamitu koloru brązowego. Podszyicie wyłogów fałdowanych z „su-



Nr 11. Szlak na krzesło (ścieg płaski) do ryc. Nr 12.

ściegiem płaskim czarnym jedwabiem. Z 66 nitek opuszczonych pozostawić 22 nitki środkowe, inne zaś wzdłuż powyciągać. Każde 6 wolnych nitek okręcić jak rycina wskazuje jedwabiem mniej więcej 10 razy, dolną część połączyć z 6 nitkami ściegiem czerwanym. Na pozostałych nitkach wykonać podług ryciny ścieg płaski, przejmując na szerokość 6 i 4 nitki. Drugą połowę tejże figury wykonać tak samo. Kolory zmieniać odpowiednio. Po wykończeniu roboty stosownie do potrzeby, oto czyć wolne brzegi szlaku oprócz zębów jedwabiem koloru oliwkowe-



Nr 9. Suknia z bengaliny i materiału jedwabnego mieniącego ozdobiona koronką (Opis pierw. str. tabl.).

rah” koloru piaskowego, pasek z „surah” tegoż koloru fałdowany z końcami z boku.

Suknia z długą baskiną

Rycina Nr 5.

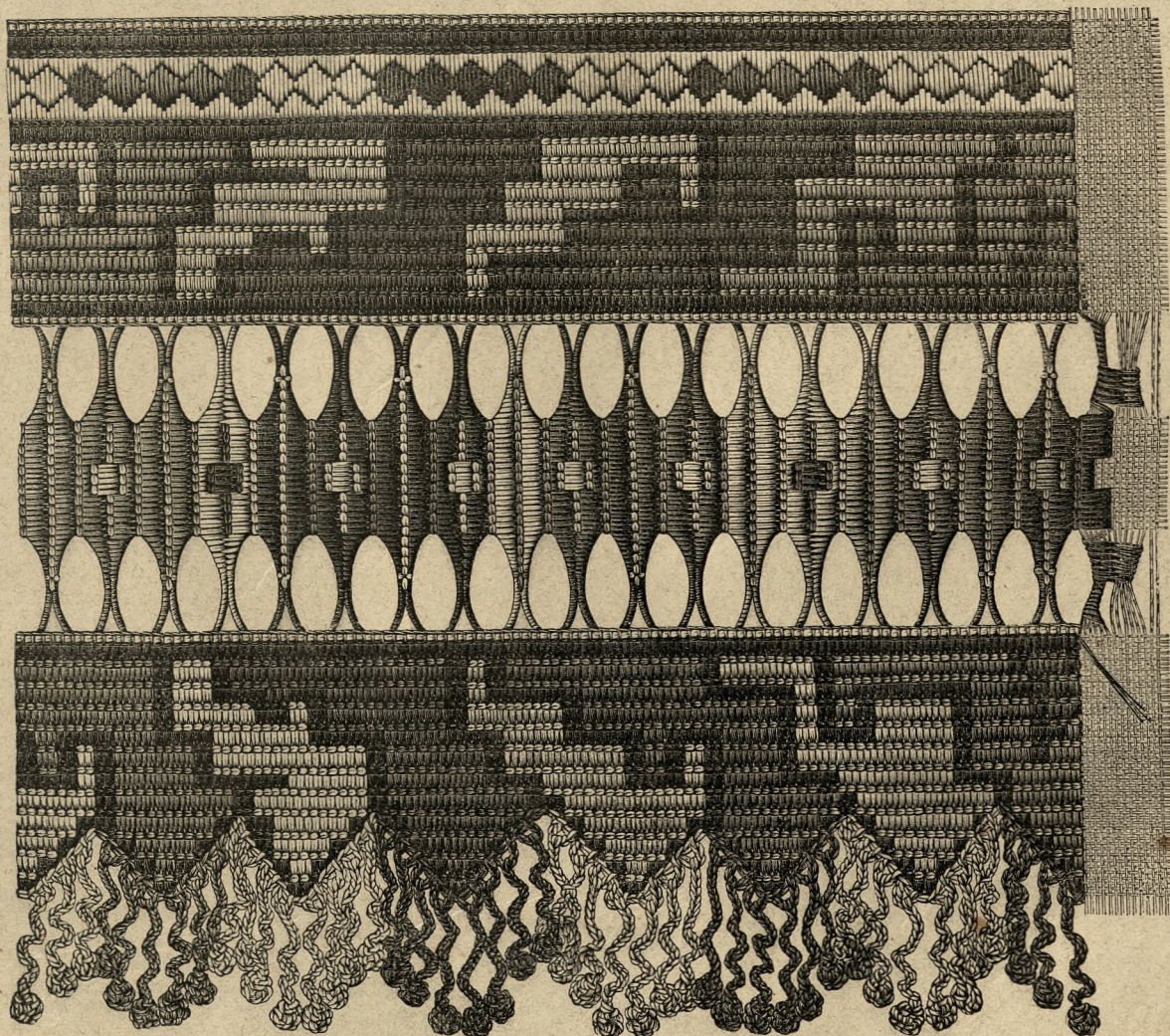
Suknia z szewiotu koloru granatowego, oraz z fularu białego w rzut granatowy. Gorsecik zapinany na boku połączony z baskiną w rodzaju krótkiej spódnicy. Całość przybrana podług ryciny szlakiem maszynowym, haftowanym czarnym jedwabiem.

Szlak na krzesło (ścieg płaski).

Rycina Nr 11 i 12.

Rycina Nr 11 przedstawia tylną część krzesła w stylu „renaissance.”

Rycina Nr 12 przedstawia w zmniejszeniu część szlaka 52 c. szer. oprócz frendzli na 18 cent. szer. Wykonać na kanwie niedzielonej, rozmaitego ko-



Nr 12. Część haftu na krzesło Nr 11 (zmniejszony).

Nr 10. Suknia z grenadyny i koronki.
(Opis pierw. str. tabl.).

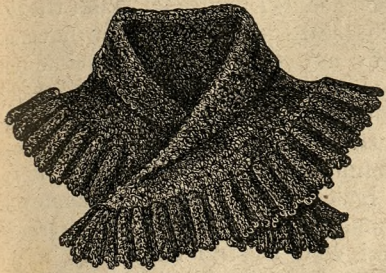
go i mocować szerokim ściegiem dzierganym. Szlak zaopatrzyć podszewką z materiału jedwabnego, i oba górne rogi zakończyć kokardą z wstążki koloru oliwkowego i poziomkowego. Frendzlę wykonać kolorem odpowiednim do zębów, jak następuje: — 1 kolej: * 1 ścisłe łańcuskowe oczko w brzeg materiału, 5 powietrznych oczek, 1 ścisłe oczko w 1 ścis. łańc. ocz., 1 ści. ocz. w brzeg materiału, od * powtórzyć. — 2 kolej: * 1 ścisłe łańcuskowe oczko w następne 5 powietrznych oczek, 23 powietrznych oczek, 1 ścisłe łańcusk. oczko w 17 z tychże, 6 ścisłych oczek w 18 do 23 powietrznych oczek, potem ciągle 1 ścisłe łańcuskowe oczko w każde oczko, na koniec 1 ścisłe łańcuskowe oczko w 17 powietrznych oczek, nitkę umocować i od * powtórzyć. Na zakończenie należy każdy koniec wykrocić, aby miał pozór karbowanego.

Kaftanik dla małego dziecka wykonany szydełkiem.

Rycina Nr 15.

Materyał potrzebny: 30 gram. „Island“ włóczki.

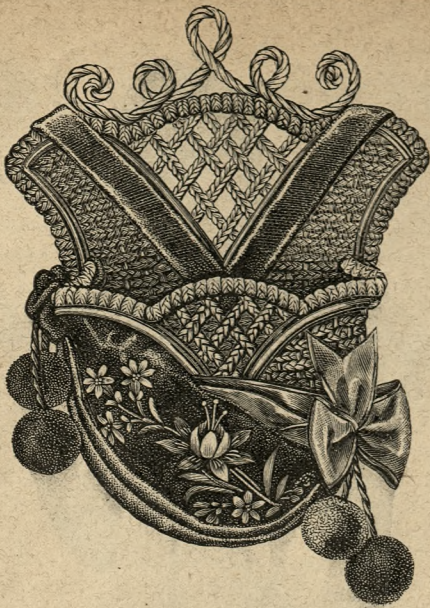
Kaftanik 23 cent. dług. wykonany białą „Island“ włóczką. Rozpocząć na założeniu 128 ocz., z których pierwsze 36 ocz. tam i napowrót wykonane stanowią lewy tylny brzeg, ostatnie zaś 92 stanowią dolny brzeg.



Nr 14. Chusteczka haftowana z „mohairu“ (do ryc. Nr 20).
Opis w Bl. Nr 35.



Nr 17. Monogram (ścieg płaski).



Nr 16. Koszyczek na ściereczki.
(Opis w Bl. Nr 35).



Nr 18. Monogram (ścieg płaski).



Nr 15. Kaftanik wykonany szydełkiem dla małych dzieci.

zastosować się do deseni, ażeby wypadł odpowiednio. Rękaw rozpocząć od dolnego brzegu i wiadomym sposobem wykonać. Przybrać kaftanik wstążeczką podług ryciny.

Plaszcz jesienny z podwójną peleryną.

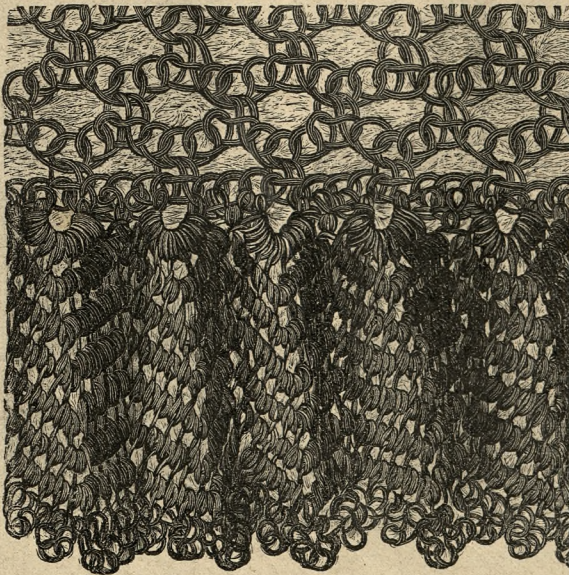
Rycina Nr 23 i 24.

Plaszczyk długi wolno spadający z sukna koloru piaskowego, przybrany szlakami rozmaitej szerokości



Nr 13. Serwetka podróżna z materyału lnianego
(Deseń odwr. str. tabl. Nr 1a i b). Opis w Bl. Nr 35.

1 kolej: Nitkę od 35 ocz. założenia związać, 1 oczko przerobić 1 oczkiem i jeszcze 1 oczko z tegoż oczka, oraz 3 oczka z następnych 3 zebrać, a zebrane na szydełku przerobić 1 oczkiem i takowe przyciągnąć, * 5 ocz. zebrać a mianowicie: 1 ocz. z żyłki powyżej przerobionego, 2 ocz. z tylnej żyłki ostatnio zebranego, 3 ocz. z ocz., z którego przedtem wskazano zebrano 4 i 5 z następn. 2 ocz., zebrane na szydełku 1 ocz. przerobić, przyciągnąć i od * powtórzyć. — 2 kolej: Nitkę 2 go następ. wolnego brzegu związać, potem jak kolej poprzednia, ale ciągle 3 i 5 ocz. zebrać z tylnej żyłki 4 o. zebrać z ocz., w którym 5 ocz. było przerobione. — 3 do 18 kolei, jak kolej poprzednia, ale dla uwydatnienia paszek należy w 11 do 14 kolei przednich a szczególnie tylnych części przerabiać na środkowych 20 ocz., ostatnie na pierwszych a ostatnie 12 wzorów. Dalej zwrócić należy uwagę, że w 12 kolei z obydwóch boków paszek należy ujmować w sposób, ażeby w następnej kolei 1 wzór był opuszczony a w kolei 14 pomiędzy przednią częścią a plecami na paszki założyć nowe 14 pow. ocz., na których w następnych 4 kolejach takież sam wzór wykonywać. W ostatnich 3 kolejach



Nr 20. Część roboty szydełkowej na chusteczkę Nr 14 (wielkość oryginalna).



Nr 21. Suknia formą „princesse“ ozdobiona haftem perełkowym. (Opis pierw. str. tabl.).



Nr 19. Suknia z bengaliny ozdobiona wstążką i koronką. (Opis pierw. str. tabl.).

sukna brązowego i zaopatrzony podszewką jedwabną. Podwójna pelerynka, rękawy w mankiet wszyte, kołnierzyk stojący i pasek, wykończają całość. Dolna część obszyta również szlakami z sukna.

Suknia z mulu gładkiego i haftowanego, oraz kapelusz.

Rycina Nr 25 i 26.

Suknia z mulu koloru żółtawego gładkiego i w deseń. Składa się z stanika i spódnicy. Stanik zaopatrzony podszewką z satynki, ozdobiony wyłożonym haftowanym kołnierzem, oraz takimiż rękawami. Rodzaj napierśnika z „surah” żółtego i takiż stojący kołnierzyk. Pasek szeroki fałdowany, tak zwany „Louise.”

Kapelusz z słomy żółtej fantazyjnej, podszyty krepu żółtą. Ubranie stanowi wstążka różowa krepowa 3 cent. szer. Bukiet z konwalii dopełnia całości.



Nr 22. Kołnierzyk w rodzaju pelerynki z „surah” i z koronki.
(Opis w Bl. Nr 35).

przedstawiającą plecy) z tiulu haftowanego na materyale jedwabnym pomiędzy dwoma pasami aksamitnymi. Dalej bluzka, którą zapinać należy na ramieniu. Rodzaj gorsecika z aksamitu. Rękawy podług ryciny bez podszewki. Szarfka ułożona w fałdy, związana z boku na kokardę z krepy chińskiej.



Nr 23. Płaszcz jesienny z podwójną pelerynką (do ryc. Nr 24).

Suknia z materyału krepowanego i kapelusz

Rycina Nr 27 i 28.

Suknia złożona ze spódnicy i stanika, wykonana z krepy wełnianej koloru niebieskiego i ozdobiona podług ryc. koronką grubą gipiurową.

Kapelusz z niską główką, podszyty tiulem koloru piaskowego podwójnie złożonym. Jako przybranie służy krepa chińska koloru różowego i dwa piórka czaple wysoko wpięte.

Stanik z krepy chińskiej, aksamitu i tiulu haftowanego.

Rycina Nr 3 w Bl. Nr 37.

Stanik z krepy chińskiej koloru różowego i z aksamitu ciemno-zielonego, przybrany koronką, służy do sukni powłóczystej. Górną część stanowi rodzaj karczka (patrz małą dodatkową rycinę



Nr 25 i 26. Suknia z mulu gładkiego i haftowanego, oraz kapelusz dla młodej osoby.

Nr 27 i 28. Suknia z materyału krepowanego i kapelusz dla młodej osoby.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Ogórki nadziewane na jarzynę.

Bardzo dojrzałe grube niewielkie ogórki wydrążyć ze środka, robiąc w szerszym końcu jak najmniejszą dziurkę po zerznięciu jednego plasterka. Zrobić nadzienie jak na zwyczajne pierożki z siekanego gotowanego mięsa, masła, cebulki pieczonej, bułki troszkę rozmoczonej, żółtka, soli i pieprzu. Masła powinno być sporo, bo masło nie zepsuje; wypełnić tym farszem ogórki, mieć w płaskim rondlu gorącą wodę, włożyć ogórki i gotować, póki ogórek nie zrobi się przezroczysty, co łatwo poznać, kładąc skrajane plasterki razem. Oddzielnie zrobić sos, biorąc na 4 ogórki pół łyżki maki, łyżkę pełną śmietany, zagotować razem, rozebrać smakiem od gotowanych ogórków, biorąc ledwie 2 łyżki, żeby sos był zawiesisty, wyjąć ogórki na salaterkę i polać sosem.

L. C.



Nr 24. Płaszcz jesienny z podwójną pelerynką (do ryc. Nr 23).

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa gruszkowa.
2. Sztufada.
3. Kapusta włoska faszerowana.
4. Perliczki z kompotem.
5. Śmietana bita.

U W A G A.

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze, dołączoną była do zeszłego numeru *Bluszczu*.